

Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





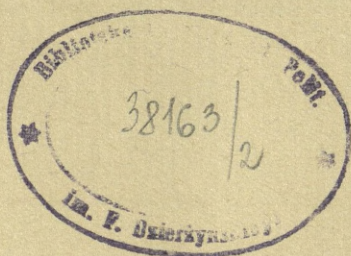
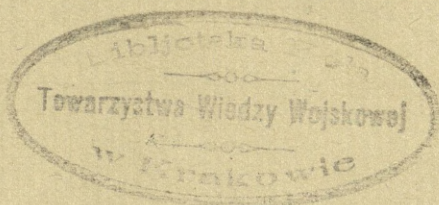
KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

K R A K Ó W
PRZED TRZYDZIESTU LATY

W A R S Z A W A 1 9 3 2

95401/1

ODBITKA Z „MYŚLI NARODOWEJ“



PAMIĘCI
KAZIMIERZA
I
KONSTANCJI
MORAWSKICH

THE
AMERICAN
LIBRARY
OF THE
CONGRESS

TUSCULUM SZLACHECKIE

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

„JESTEM dobrze urodzony,... gdyż urodziłem się w Krakowie“ — chciał powiedzieć jeden z kandydatów konserwatywnych — piękno-
 duchów na zebraniu przedwyborczem pod Kapucynami. Nie zdołał jednak wypowiedzieć *pointe'y* swojego frazesu, gdy zagłuszyły go gromkie okrzyki „Hańba!“ „Myśl Narodowa“ nie jest ujeżdżalnią, więc, licząc na subtelność jej czytelników, powtarzam za tym zrzuconym z trybuny Stańczykiem, bez żadnej zgoła obawy: „Jestem dobrze urodzony, gdyż urodziłem się w Krakowie“.

Powiedział niegdyś pięknie nasz Grzymała, co to znaczy Kraków, co znaczy mieć kolebkę w Rynku, w domu jednego z patrycjuszów, gdzie

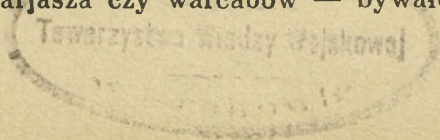
¹⁾ *Quel rapport?* — zapytałby Francuz — z głośnymi ostatnio i, jak zawsze, rozreklamowanymi przez pewne sfery artykułami „Boy'a“. Żaden — odpowiem — lub prawie żaden. Rzecz była dawno gotowa (w jesieni r. 1920), a co do „Boy'a“, to wiadomo, jak go cenię. („Na marginesie polemiki z „Boy'em“). Nie półsemicie z ducha, nieczułem na wszystko, co podnosi, uskrzydla, daje rację bytu generacji młodszej, pouczać naród o dawnych jego tradycjach, on tylko łuskać potrafi z pod starej patyny tych murów, co w nich naprawdę pod koniec bywało komicznego czy pokracznego. Ale właśnie ten jego daltonizm, ta jego nieczułość na cały świat podstawowych zagadnień, zaklęty w odwiecznych kamieniach Krakowa, sprawia, że jego „Kraków widziany z knajpy“ winien ulec poważnej rewizji.

kominki i stropy, gdzie była poczta Montelupich czy stała na kwaterze nie wiem już jaka ambasada wenecka, w domu pod Matką Boską, w domu nabożnie zapisanym w tradycji miasta, skoro na nim zatrzymał się był w roku 1850 słynny pożar. Z okien tego domu rozciągał się jakżeż malowniczy widok na Sukiennice i Pannę Marję, a trąbka hejnału i dzwony Marjackie regulowały takt życia mieszkańców tej dzielnicy.

Do chrztu trzymał mnie Paweł Popiel, świetny prozaik, pisarz polityczny i pamiętnikarz, a wówczas już nestor miejscowego patrycjatu, konserwatyzmu i ziemiaństwa, zasłużony odnowiciel i konserwator zabytków Krakowa. „W drugą parę” podawał mnie inny *genius loci*, Stanisław Tomkowicz, monografista Wawelu.

W obszernych komnatkach staroświeckiego domu, umeblowanych z tym smakiem, który daje tylko prawdziwa kultura, spływało mi dzieciństwo, zaciszne jak w jakiej bajce Andersena, a owiane pięknem, jakie tryska z pomników historii. Czasem tylko zakradałem się z dziecięcej bawialni do zaczarowanego królestwa ksiązek mojego ojca i, ledwo czytać się nauczyłem, zbrojny w egzemplarz „Iljady”, „Odyssei”, „Fausta” czy Moljera, długie godziny trawiłem na odcyfrowywaniu klasycznych zagadek.

Babka moja, której wychowywać mnie przyszło po przedwczesnej śmierci mojej matki — wdowa po Władysławie Wężyku, ekshumowanym dziś przez historyków literatury egiptologu i Norwidjaninie, — sama osoba wysokiej literackiej kultury, co w Warszawie popowstaniowej piórem przyrabiać musiała na życie, a mnie, jako jedyny łącznik, jaki jej z tem życiem pozostał, macierzyńską darzyła miłością, przy wieczornej partyjce archaicznego marjasza czy warcabów — bywało — dorzu-



cała do tlejącego ognia wyobraźni dziecinnej nowych zarzewi w postaci tajemniczych opowieści o niewyjaśnionych przyczynach wielkiego pożaru, którego w roku 1850 była świadkiem, a które bardziej już uświadomiona logika małego słuchacza wiązała później z jakąś ofensywą karbonarjuszowską przeciw kościołom Krakowa — lub też z dawniejszych jeszcze tradycji rodzinnych, zaczerpniętych czy to z romantycznego życia dziadka czy z zamierchłych — wydawało się malcowi — przygód spokrewniowych z nami rodzin Butlerów i Ossolińskich ¹⁾.

A tymczasem za oknami tych pokojów, które same już w sobie stanowiły udzielne królestwo rojeń dziecięcych, ożywiane jeno w dni świąteczne czarem sławnych procesyj i pochodów czy huczną czeredą rówieśników — snuło się w owych latach życie Krakowa, nie tak już może szumne, jak jeszcze na przełomie lat osiemdziesiątych, ale bardziej skupione, uduchowione i poważne.

Kraków bowiem w tym czasie ze szlacheckiego *tusculum*, jakim stał się był po wojnach napoleońskich, kiedy to między innemi sprowadzili się do niego krzeszowiccy Potoccy, a bardziej jeszcze po rozgromie listopadowym, kiedy w „wolnem mieście“ skupiła się część emigracji: stare lwy, jak Chłopicki, poeci z Wasilewskim i Polem na czele, konspiratorowie wreszcie w dniach rzezi, „wiosny ludów“, powstania styczniowego, — Kraków z rezydencji barańskiej linii Pilawitów, bocznej linii Czartoryskich (z Woli Justowskiej), Lubomirskich z Przeworska czy Sanguszków z Gumnisk, nie licząc okolicznego ziemiaństwa, z Arkadij kuli-

¹⁾ Nadmieniam tutaj, że te dzieje kronikarskie starego Podlasia, spisane barwnym stylem mojego dziada, przechowały się u mnie w rękopisie i ze wszech miar zasługują na wydanie.

gów i beztroskich rozhovorów, wielbionej piórem Ludwika Dębickiego, a piętnowanej nieraz przez publicystów emigracyjnych, — Kraków jał się stopniowo przekształcać w bardziej dostosowaną do demokratyzującej się, bądź co bądź, epoki „akademję wszelkich scjencji pełną“.

I mogę powiedzieć, że, jeżeli w pierwszym okresie młodości mojej więcej stosunkowo dolatywało mnie ech o tem, jak sobie w pałacu pod Baranami poczyniała „pani Adamowa“ (Potocka) lub każda z czterech jej córek, jak w Krzeszowicach rozstawał się z młodem życiem przyjaciel arcyksięcia Rudolfa, uroczy pan Artur, zaś w balowej sali pałacu krakowskiego hasał młodzik pełen ognia i zapału, potem ofiarą śmierci swojej na bohatera narodowego pasowany pan Andrzej, jeżeli w okresie tym słyszeć jeszcze mogłem dźwięki widmowych niemal ewokacyj Szopena, odtwarzanych ręką uczennicy jego, księżnej Marceliny Czartoryskiej, — to w okresie drugim (mniej więcej od niezapomnianej uroczystości jubileuszowej uniwersytetu krakowskiego w roku 1900) usuwa się to czysto światowe życie coraz bardziej na plan drugi, wymierają lub znikają z niego kolejno różni mniej lub więcej dostojni przybysze, wolniej tętno i powszedniejsze charakter zabaw karnawałowych, a ośrodek obcowania towarzyskiego, zawsze jeszcze intensywnego, ale wyłącznie teraz, zwłaszcza w okresie pierwszej rewolucji rosyjskiej, intelektualnego, przesuwa się z „pałaców sterczących dumnie“ do salonów profesorskich, literackich, a nawet knajp i kabaretów.

II

Ale już i w tym pierwszym okresie czysto intelektualne życie, z którego wyrosłem, wcale żywym pulsowało tętnem. Przyczyniały się do jego

rozbudzenia wszystkie te domy, których dobra tradycja szlachecka czy wielkopańska czyniła świadomymi, że *noblesse oblige* nienajmniej — a w naszych specyficznych warunkach bodaj czy nie najwięcej — w kierunku kulturalnym.

Kulturalnemi po swojemu, w dużym nawet stopniu, były „Barany“, wierne tradycji politycznej swojego szefa Adama Potockiego, a zasilane wdziękiem osobistym i oglądą światową takich jednostek, jak zięć jego Edward Raczyński, głośny z czasem mecenas sztuki i dziedziczny bibliofil. Centrum kulturalnem był także „Szlak“ Stanisława Tarnowskiego, dawna podmiejska willa Montelupich. W sklepionym *hall'u*, który, wedle tradycji, miał być niegdyś *chapelle ardente* czy miejscem postoju dla zwłok królów polskich, przybywających z Warszawy na Wawel, w *hall'u* zdobnym w głowy wyratowane z Izby Poselskiej na Zamku i tam dziś powrócone, w odlewy gipsowe słynnych nagrobków rodzinnych w Tarnowie i w obrazy Matejki, jak piękny portret rektorski hrabiego, zbierali się od czasu do czasu przyjaciele państwa Tarnowskich czy to dla narad redakcyjnych „Czasu“ i „Przeglądu Polskiego“ czy dla prostej towarzyskiej wymiany myśli.

Można jednak powiedzieć, że, jeżeli nie Gracie, to przynajmniej Muzy chroniły się najchętniej do przybytków mniej etykietalnych — poprostu mówiąc do domów, będących ekwiwalentem mieszkim niczego więcej, jak dwory szlacheckie.

Nie sięgam już pamięcią w czasy, kiedy surogatem jednego z takich dworów był dom „delegata“ wtedy — Kazimierza Badeniego, Lwowianina z rodu, ale złączonego powinowactwem i przyjaźnią z całym szeregiem domów krakowskich. Pamiętam jak przez mgłę, że w niedzielę, po ostatniej mszy u Panny Marji, chadzało się do niego,

do „Pałacu Spiskiego“, a wtedy rządowego, na wódkę. Badeni — mimo, że politycznie, przez tradycje krakowskie swojej rodziny i przyjaciół, jak Stanisław Koźmian — zrósł się był z tutejszymi kierunkami i stosunkami, z majątkowej, ziemiańskiej przynależności zachował był jednak wiele z typu kresowego szlachcica włącznie z częstem u tej warstwy w Galicji zamiłowaniem do żydów, które go później w Wiedniu, kiedy został prezydentem ministrów, w erze Luegera, o wiele kłopotów przyprawić miało, podobnie jak wpierw, za rządów jego namiestnikowskich, zarzucano mu z wielu stron, iż Galicję sobie powierzoną chciał traktować po patriarchalnemu czy raczej patrymonjalnemu, jak własny folwark.

Do domu Badenich chętnie garnęli się ludzie pióra, ale raczej na zasadzie tej filozofji eklektycznej, w której zlewa się doktryna smaku Brillata-Savarina z bardziej podniosłymi aksjomatami Platona. Lepiej o tych czasach i ludziach poinformowany czytelnik zgadłby z góry, że jako chorążego tego cechu mam na myśli zacnego ks. Pawlickiego.

O ile chodzi o typ ściśle intelektualnych domów, to prym w tym względzie należał się domowi Popielów. I znów nie obejmuję pamięcią słynnych „czwartków“ (Paweł Popiel umarł już w r. 1892), w każdym razie, za pośrednictwem rodziny, wiele się o nich nasłuchiłem, bo Muza Morawskich specjalnie im towarzyszyła. Mój ojciec piękną łaciną kuchenną obchodził jubileusz starego Popiela:

*Popielorum patrem gentis
Fama fert antiqua
Devorare esurientis
Mures vi iniqua.
Acres ubi murium dentes
Mordent hodie curae,*

*Sed resistunt sapientes
 Viri sorti durae.
 Ex antiqua dum Cracovia
 Tabula fit rasa
 Viget pristino splendore
 Popielorum casa ¹⁾.*

Mój stryj znowu, Zdzisław, późniejszy autor „Sacco di Roma“ i „Rawenny“, jeden z uczestników drążkowych owych „czwartków“, jako znacznie młodszy, tworzył na temat przyjęć i bał w kamienicy przy Świętojańskiej, jednej z ozdób tego krakowskiego Faubourg Saint Germain, szeregu ucieśnych poematów o charakterze krakowiakowym, w których życzliwie sobie dworował z całej kolekcji rarogów szlacheckich, jakie się nagromadziły w tej rodzinie. Arcyrarogiem był sam pan Paweł, w którym — przez filjację Popielów, Badenich i żoniną Sołtyków — nawiązywała się tradycja Stanisławowska. Przechowałem dobrze we wspomnieniu oryginalną jego sylwetkę, więcej może dzięki plastycznemu *facsimile* mojego stryja, który mimicznie go odtwarzał, niż temu, że widywałem go dzieckiem, jak sunął rynkiem w archaicznym popielatym cylindrze, stercząc ogromnym nosem — i bodaj na rusztowaniach Panny Marji, której komitetu odnowicielskiego był prezesem. Nie przypominam go sobie natomiast na tle wiejskiej jego rezydencji, w sąsiadującej z naszym Wadowem Ruszczy, tak jak sobie przypominam tam jego, o równie charakterystycznej powierzchowności, brata, arcybiskupa warszawskiego Wincen-

¹⁾ Niesie wieść starodawna, że ojciec rodu Popielów pożarty został przez zgłodniałe myszy. Dzisiaj, nieчем zęby mysie, żrą nas ostre troski, niemniej mężowie mądrzy stawiają opór twardym losom. A gdy ze starego Krakowa nic niemal nie zostało, kwitnie przecie blaskiem dawnym stary ród Popielów.

tego. Ostatni raz widziałem pana Pawła na łożu śmierci, kiedy szeptał nad moją głową słowa niedosłyszalnego dla mnie błogosławieństwa, utrwalonego później na papierze przez córkę jego Zofję.

Drugim co do rangi, ilości, wystawności przyjęć, domem szlacheckim był za czasów mego dzieciństwa dom Romanów Michałowskich z Dobrzechowa w t. zw. pałacu Larysza na placu Franciszkańskim. Roman Michałowski, potomek starej podkrakowskiej rodziny, która wydała m. in. malarza Piotra, piastującego wysokie stanowiska w Wolnem Mieście, miał za żonę Marię Koźmianównę, siostrę znanego publicysty i dyrektora teatru Stanisława, a wnuczkę Kajetana, pamiętnikarza i poety pseudoklasycznego. Zarówno więc przy kądzieli jak przy mieczu Genjusze i Muzy zagnieżdżyły się były w tym domu. Sekret doskonałej kuchni, przystojnej zasobnej szlacheckiej fortunie, dawał okazję do wesołych sympozjonów, w których pani domu, *se piquant de philosophie*, lubiła dyskutować z Ojcem Pawlickim o Senece i otwierać istne konkursy biesiadne na temat, który z jej gości więcej ma rozumu i kultury. W domu tym chowało się dwóch synów: starszy, Władysław, wysławiony świeżo piórem „Boy’a“, gospodarował później w rodzinny Dobrzechowie, młodszy, Józef, sekretarz ambasady naszej przy Watykanie, a później Kwirynale, fundator biblioteki rzymskiej Polskiej Akademji Umiejętności, dużą, dziedziczną od pokoleń, odznaczał się kulturą.

Nawiasem tylko w tym związku wspomnę o domu Wodzickich, zrosłym z Krakowem od XVII-go bodaj wieku tylomaż tradycjami, co rodzina Michałowskich. Nawiasem, gdyż — pomimo społecznego i politycznego stanowiska swoich członków — nie zaznaczał się ród ten w życiu intelektualnem Krakowa, które przedewszystkiem

mnie tu interesuje. Ale niesposób pominąć jednego z tych Wodzickich, „hrabiego Tonia“, słynnego polityka galicyjskiego, o którym taką opowiedziano mi anegdotkę: Przyszedł do N. K. N'u w sierpniu 1914 r. poprzez linje bojową czy kraj neutralny, numer warszawskiego „Kurjera Porannego“ (*quantum mutati ab illo*) z pierwszym wypowiedzeniem się filo-ententowem najwybitniejszego z przewodców obozu narodowego. Czytał ten wywiad Wodzicki i oburzał się przytem mocno ze stanowiska lojalności prohabsburskiej, poczem odłożył dziennik, w głowę się podrapał i, zastanowiwszy się chwilę, zakonkludował: „Łajdaki, łajdaki, ale dopiero koniec wojny okaże (hrabia spełnił nieco, a hołdował swoistemu oportunistomowi politycznemu), kto właściwie są łajdacy: my czy oni“.

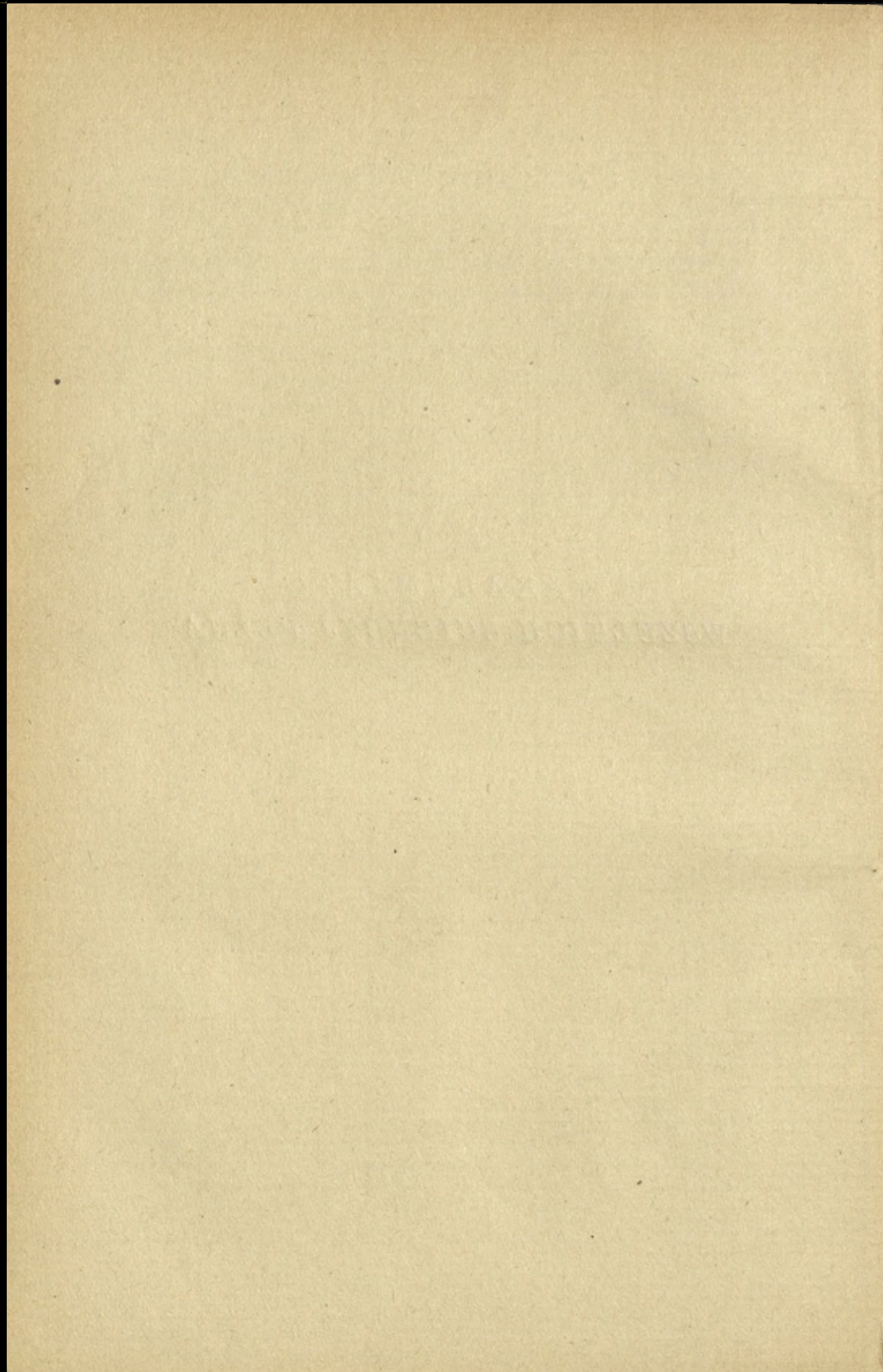
Inna znowu rodzina „skrakowiała“, a mianowicie Moszyńskich, świeciła blaskiem rozległej kultury. Wywodząc się od Piotra, którego postać na jednym z najpiękniejszych swoich portretów uwiecznił był Matejko, męża, zamieszanego w spiski przeciwrosyjskie i płacącego za nie Sybirem, który odegrał piękną później rolę w dobie Wolnego Miasta, a w roku 1863 starszego syna oddał na ołtarz ojczyzny, ród ten za moich czasów rozrodził się w Krakowie głównie po kądzieli, podczas gdy syn Piotra, Jerzy, zdolny, ekscentryczny, namiętny publicysta mieszkał stale w Sandomierskiem, skąd nawałą broszur bombardował stale opinię galicyjską. Z córek Piotra Moszyńskiego najwięcej bodajże uroku miała pani Marja, żona Zygmunta Pusłowskiego, znawcy sztuki i bibliofila, równie, choć inaczej jak ona, wytwornego i wyrafinowanego. Zamieszkiwali państwo Pusłowscy wraz ze synami urocze i ślicznie urządzone *villino* na ulicy Kolejowej (dzisiaj Andrzeja Potockiego);

inna córka Piotra Moszyńskiego dała życie poecie Rostworowskiemu.

W żadnym względzie nie mogę się w tych odległych wspomnieniach silić na kompletność, przyjdzie mi zatem przegląd domów krakowskich w tym okresie zamknąć na domu babki mojej Morawskiej przy ulicy Basztowej, „pod św. Józefem“. Dom ten kwitnął w latach 1889 — 1895, po przeniesieniu się babki mojej z rodzinnego Poznańskiego do Krakowa, a życie w nim towarzyskie pielęgnowane było starannie, zwłaszcza przez intelektualne latorośle rodziny¹⁾.

¹⁾ Jeden z czytelników moich zwraca słusznie moją uwagę, że w poprzednim feljetonie, przy wymienieniu rodziny Wodzickich, zapomniałem o bardzo wielkich zasługach, jakie położyła dla popularyzacji historii polskiej członkini tego rodu, hrabina Teresa z Potockich Wodzicka, jedna z najznakomitszych literatek polskich starszego pokolenia.

AKADEMJA
WSZELKICH SCIENCYJ PEŁNA



ATERAZ przystąpić mi należy — w miarę możliwości — do scharakteryzowania głównych w tych salonach działających osób. Najliczniejszego kontyngentu dostarczał oczywiście uniwersytet. Zacznę od mojego ojca.

Ojciec mój, dochodzący około roku 1900 do pełnego naukowego rozwoju, kształcony był na uniwersytecie berlińskim, w szkole Mommsena. Oglądawszy naocznie w roku 1870 zupełny triumf Niemiec, umocnił był w sobie tym widokiem wrodzone Poznańczykowi uczucia antyniemieckie, w których mnie również później wychował. Przejęty natomiast i wżywszy się pilnie w niemieckie metody naukowe, charakteryzujący go szerszy horyzont zawdzięczał niewątpliwie wychowaniu domowemu. W wystęпах retorycznych — wtedy właśnie (w r. 1890, jeżeli się nie mylę) zainicjował je był pierwszą swoją mową publiczną nad grobem biskupa wileńskiego Krasińskiego — przejmował coraz żywiej swoich słuchaczy, którzy wzruszać się dawali utożsamieniem się mówcy z przedmiotem jego dyskursu. Stylista przedni i operujący tutaj prostotą zwłaszcza techniki, podsłuchaną u mistrzów starożytnych, w wierszu, nieraz satyrycznym, konkurował o laury porówno z moim stryjem Zdzisławem.

Ten ostatni — żeby wyczerpać czynniki intelektualne rodziny — miał umysł bardziej od mojego ojca anegdotyczny, dowcip o charakterze bardziej sceptycznym, a cały temperament zgoła — w prze-

ciwieństwie do brata starszego — nie wybuchowy. Osobistość jego polityczna zarysowała się w Wiedniu w momencie wielkiej wojny, na stanowisku jednego z ostatnich ministrów dla Galicji, pozatem realizował się on przede wszystkim w zakresie walorów kulturalnych, a w okresie, który nas tutaj obchodzi, był zaledwie jednym z *princes charmants* towarzystwa krakowskiego. Egerją jego, Egerją mojego ojca, a w sumie i całej rodziny, była ciotka moja Konstancja ¹⁾, typowy specymen kobiety-literatki, jakich tak sporo wydała Polska przed- i porozbiorowa, wysoce wykształcona, obdarzona znakomitą pamięcią, a przytem biorąca wszystko egzaltowanem sercem patriotki. Kultura, jaką sobie zdobyła, sięgała filjacją, poza starymi Morawskimi ²⁾, środowiska katolickiego poznańskich Koźmianów, a to tłumacza Szekspira Stanisława (starszego) i księdza Jana, wychowawcy mojego ojca. W literackim poczcie rodowym dalsze miejsce zajmował ksiądz Marjan, Jezuita, natchniony autor pełnych polotu „Wieczorów nad Lemanem” i „Świętych obcowania”. Łagodny i uduchowiony, wywierał ksiądz Marjan znaczny wpływ na szerokie sfery, zwłaszcza młodzieży, a dopiero na wspaniałym jego pogrzebie zakonnym w roku 1901 policzyły się nieprzebrane zastępy jego wielbicieli. W życiu codziennem niedościgniony dystrakt (zresztą ciężko nerwowo chory), zadziwiał nas młodych i małuczkich niezwykłym rozrzuceniem swojej fizycznej powłoki.

Teologiem w owym czasie był jeszcze i ksiądz Pawlicki. Należał formalnie do wydziału teologicz-

¹⁾ Patrz Stanisław Tarnowski: „Konstancja Morawska”, Kraków 1927.

²⁾ Franciszkiem, ministrem wojny w r. 1831, poetą-bajkopisarzem; Józefem, korespondentem filozofa Schellinga; Kajetanem, parlamentarzystą i publicystą.

nego, chociaż studia filozoficzne i historyczno-kulturalne dawno wzięły były w nim górę nad czysto teologicznymi. Przy epoce nauk moich uniwersyteckich będę miał sposobność powrócić do tej tak oryginalnej postaci, tutaj zaznaczyć wystarczy, że stanowił on wtedy, i w wyższym stopniu, niż w późniejszych czasach, kiedy chorobliwa ociążałość krępowała nieco wzloty jego intelektu, upragniony w każdym salonie typ oświeconego *abbé*, znającego na palcach i katakumby rzymskie i modny wówczas dyletantyzm Renana i — z wcześniejszych swoich studjów — filozofję miłości Schopenhauera i międzynarodowe towarzystwo rzymskie i kwestję żydowską i niezliczoną ilość innych esencji i arkanów współczesnego oraz starożytnego świata. Zamiłowany w kuchni, chociaż bynajmniej na niej się nie znający, pełen ujmującej życiowej pogody filozoficznej, którą w przeważnej mierze zawdzięczał solidnej konstytucji i zdrowemu temperamentowi gdańskiego „gbura“, w stosunku do młodzieży roztaczał godną swego prawzoru Sokratesa, pełną sympatji i troskliwości życzliwość. Lepiej go znający twierdzili, iż, pomimo nawrócenia się w młodości i czynami wyznawanej odtąd wiary, pozostało u niego pewne *fond* sceptyczne, które objawiało się na zewnątrz ironicznem przy-mrużeniem oczu, dającym się łatwo uzmysłwić dla potomności na tle kunsztownie wiernej maski, wyrzeźbionej przez Laszczkę (w muzeum praskiem), na wewnątrz zaś szeregiem dziwaczných powiedzeń i zwrotów, w których trudno nieraz było rozeznąć, gdzie kończy się mitologja i poganizm, a odkąd wkracza w swoje prawa sukienka ascetycznego zakonnika¹⁾.

¹⁾ Jedna z moich przyjaciółek warszawskich opowiadała mi o bardzo charakterystycznej przygodzie księdza Ste-

Wydział prawny uniwersytetu w życiu towarzyskiem Krakowa zbytniej nie odgrywał roli. Poza suchością wykładanych na nim dyscyplin, która przechodziła poniekąd w krew i miąższ wykładających, przyczyniała się do pewnej ich izolacji okoliczność, że na tym wydziale, jako najściślej związanym z austriackim duchem państwa, zachował się był najdłużej typ teoretycznych biurokratów, których już same nazwiska świadczyły nieraz o misji ich i pochodzeniu. A chociaż często już w piersiach pierwszej, a — z reguły — drugiej generacji tych importowanych uczonych biło serce polskie, to jednak lojalność czarno-żółta za nowszych jeszcze czasów u niektórych z nich była się utrzymywała. Dowodem tego anegdotka, którą mi opowiadał niewyczerpany w rysach obyczajowych Frankfurczyk, profesor Wilhelm Creizenach.

Otóż na jednym z uniwersytetów niemieckich zdarzyło mu się spotkać anatoma, który poprzednio, za doby germanizacyjnej, wykładał był w Krakowie, a świeżo, w ciągu jednej ze swoich ekspedycji naukowych, wsławił się był odkryciem nieznanego gatunku żaby. Creizenacha, jako filologa,

fana, której widownią był pewien zaprzyjaźniony z nią dwór poznański. Po obfitym mianowicie obiedzie, przynoszącym zaszczyt reputacji miejscowej sztuki kulinarnej, przeniesiono się na werandę, na której — w dusznej atmosferze popołudniowej — wymowny zresztą Neoplatonczyk zdrzemnął się nieco. Wtem wybuchła burza i jęły padać pioruny. Groźne zjawiska przyrody nie zdołały wyprowadzić z ataraksji Ojca Pawlickiego. Ale, gdy nabożna córka domu, chcąc odgonić burzę, jęła, tuż koło ucha, dzwonić mu dzwoneczkiem loretańskim, filozof utworzył oczy, kiwnął ręką i odezwał się, nie wymawiając litery „r”, aby się zbytnio nie natężyć: „Poszę Pani, niech Pani przestanie z tym dzwonkiem, bo skoo elektyczność dodatnia spotka się z ujemną, i tak może się zdarzyć nieszczęście”. Tu już encyklopedysta stanowczo wziął górę nad teologiem.

zaintrygowało przedewszystkiem niezrozumiałe dlań miano, którem szczęśliwy anatom opatrzył był swoje odkrycie. Na dotyczące zapytanie Creizenacha wyjaśnił mu uczony badacz, że zwierzę ochrzcił tak na pamiątkę jednego ze swych kolegów krakowskich, znanych z lojalności dla Austrii, a przyczyną denominacji stała się jedna z cech odkrytej żaby, a to charakterystyczne czarno-żółte plamy na pośledniej części ciała.

Mogę na tem miejscu pominąć najbardziej markantną (ale do późniejszej należącą epoki) postać wydziału prawniczego — Bolesława Ulanowskiego¹⁾, jak cały także ówczesny wydział medyczny: wszystkich owych Madurowiczów, Jordaków, Rosnerów, Obalińskich, Rydlów, Pareńskich, Korczyńskich, aby zakończyć na włochatym i rozczochranym Rydygierze, którzy bądź pomagali do naszych urodzeń, bądź też leczyli naszych ojców i matki, ale — w ówczesnym mało zdemokratyzowanym ustroju społeczeństwa — rzadko występowali przy uroczystszych życia okazjach. Inaczej było z wydziałem filozoficznym, dawnym *artium*, który od czasów zwłaszcza Szujskiego niepoślednie w światku krakowskim zajmował stanowisko.

A tout seigneur tout honneur. Stanisław Tarnowski, któremu wdzięczne a obszerniejsze wspomnienie na innem poświęcam miejscu²⁾, żonaty z Różą z Branickich, zamieszkiwał w latach, o których mowa, dawną już siedzibę Rzewuskich, wspomnianą willę na Szlaku. Pan domu towarzyskim z natury nie był, najlepiej mu było w sklepionej

¹⁾ Inny z luminarzy wydziału prawniczego, Michał Bobrzyński, przemieszczał za czasów mojego dzieciństwa we Lwowie, gdzie sprawował funkcje wiceprezydenta Rady Szkolnej Krajowej.

²⁾ W drukującej się właśnie książce politycznej: „Od S. Z. do B. B.”

komnacie, gdzie, za biurkiem, skreślił całą niemal, tak ważną dla życia umysłowego i pedagogiki literackiej krakowskiej, spuściznę. I jeżeli Kraków uchodzi słusznie za jedną wielką nekropole, jeżeli patrzy na otaczające go życie pod kątem swoich dostojnych grobów, to Tarnowski w tym względzie był kongenjalnym jego symbolem i wyrazicielem. Umysł w najwyższym stopniu tradycjonalistyczny, w znajomości historii polskiej precyzyjnie pamiętnikarski, był Tarnowski do grobu wierny ideałom, zawodom i towarzyszom swojej młodości. (Odsia-
dywał on sam niegdyś, jak Adam Potocki i jak kardynał Dunajewski, więzienie austriackie, poczem dopiero utworzył słynną partję „Stańczyków“).

„*Nepotem*“ pary gospodarzy był hrabia Jerzy Mycielski. Z zawodu najpierw historyk, uczeń Szuj-
skiego, potem jeden z najwcześniejszych u nas historyków sztuki, słynął na całą Polskę znajomością szkół i techniki mistrzów, bystrem okiem w odgadywaniu zatartych podpisów i wątpliwych autorstw. Ta właściwość była dlań Sezamem, otwierającym mu zazdrośnie nawet strzeżone siedziby magnackie, w których rozkoszach płużył sobie i smakował. W czasach, o których mowa, był spokojnym (o ile to przy temperamentcie wybuchowym hrabiego było możliwem) redaktorem „Przeglądu Polskiego“, pełnym heraldycznych upodobań i lubieżności, nikomu zresztą zanadto, a nawet jemu samemu (bo lubiano go powszechnie) nie szkodzących.

Historykiem sztuki, ale odmiennego a wyższego pokroju, był Marjan Sokołowski. Ten naukę swoją kochał duszą całą i nic poza nią nie widział. Zamurowany przez cały dzień w swoim gabinecie, czytający wszystko a wiedzący wiele, chorował tylko na ułomność u uczonych częstą, t. zw. „*weissbesseryzm*“ t. j. mniej znaną się na przed-

miocie lepiej od każdego specjalisty. Pamiętam pewne posiedzenie Akademii Umiejętności, w którym uczestniczyłem jako gość, gdzie nie pomnę już jaki referat przerywany był przez asystującego Sokołowskiego, jak stałym refrenem czy wtórem, niezbyt miłym dla referenta słówkiem: „Wiem... wiem...”

Ze Stanisławem Smolką przechodzimy niemal już w świat kulturalnego krakowskiego mieszczaństwa. Sam Lwowianin, syn znakomitego Franciszka, prezydenta austriackiej Izby Posłów, a w dalszej genealogii pochodzenia austriacko-czeskiego — stąd niepokieszony późniejszy jego żal po skonie monarchji habsburskiej — żonaty był pierwszy raz z Kremerówną, córką filozofa Józefa, którą stracił równocześnie prawie z analogicznem nieštěściem swego przyjaciela a mojego ojca. Przez tę pierwszą żonę spowinowacony był z inną krakowską rodziną, Rydlów, która wydała poetę Lucjana. Smolka już z zewnętrznej swojej postaci miał coś reprezentatywnego i interesującego. Po ojcu odziedziczył długą po pas brodę, a z zalet moralnych gorący patriotyzm, tak częsty u tych neofitów polskości. Zaczął produkować bardzo młodo, dając świetne nieraz studia o polskim średniowieczu, to też nerwowa jego natura wyczerpała się szybko i — za czasów mojego dzieciństwa — sprawował jeszcze wprawdzie urząd sekretarza generalnego Akademii (po Szujskim), ale już był — co do zdrowia — ruiną. Później dopiero — po długim wypoczynku na Litwie, u krewnych drugiej żony — przyszło mu się skrzepić i opracować obfitującą znów w piękne karty monografię Lubeckiego, po upadku wszakże Austrii zapaść miał w ponowny marazm. Katolik gorący, w pewnym okresie redaktor „Czasu“, Smolka i w sposobie pisanja i całą, rozpraszającą się cza-

sem, wszechstronnością umysłu harmonizował z wysoką kulturą o charakterze humanistycznym, jaka rozwinęła się była w ówczesnym Krakowie.

Kreśląc ogólne tło, nie mogę pretendować do kompletności szczegółów, nie będę się zatem roz-
wodził ani nad osobą historyka dramatu europejskiego i znakomitego erudyty, wspomnianego wyżej Creizenacha, ani przyrodnika Rostafińskiego, ani sławisty Malinowskiego, ani historyka Zakrzewskiego, ani tylu innych kolegów mojego ojca których spotykałem jeszcze w domu „Pod Matką Boską”. Nie mam także zamiaru wspominać tutaj obszerniej o młodszej generacji uczonych, do której należeli: Bolesław Ulanowski, historyk Karol Potkański, przyrodnik Kazimierz Kostanecki, literat Marjan Zdziechowski. Tych wszystkich, ostatnio wymienionych, będziemy mieli sposobność poznać przy dalszym opisie salonów krakowskich na przełomie dwóch stuleci.

II

Minęło już lat trzydzieści od chwili, kiedy ojciec mój kończył był dzieło, nad którem długo się był napracował, a które miało na celu uświetnić jubileusz pięćsetletni i przypomnieć znękanym potomkom sławę wiekopomną wszechnicy Jagiellońskiej. Ojciec mój, jak już wspomniałem na początku, wyszedł był od studjów filologicznych, ale pod impulsem i kierunkiem Szujskiego, którego poważał był gorąco, przeszedł do *cinquecenta* jagiellońskiego, do wydawnictwa poezyj-erotyków Krzyckiego, do barwnych szkiców dworu obu Zygmunatów, wkońcu do monografji filologa Nideckiego ze szczególnem uwzględnieniem kultury za Batorego. W latach zaś 1895 — 6 jał przygotowywać wspomniane monumentalne dzieło: „Historja Uniwersytetu Jagiellońskiego”.

Jubileusz uniwersytecki, którego ta praca była uwieńczeniem, rozegrał się w dniach 6 — 8 czerwca 1900, w tych dniach roku, w których Kraków bywa najpiękniejszy, kiedy świeża korona Plant się jeszcze nie przepaliła. Po zjeździe gości z Anglii, Francji, Niemiec, Włoch, Skandynawji, Szwajcarii, Rosji, Czech, Austrii i innych jeszcze krajów, po iluminacji miasta i raucie w Sukiennicach, nastał słoneczny dzień 7 czerwca, w którym, co żyło, wyległo na ulice. I my, młodzież gimnazjalna, znaleźliśmy się na nich, tworząc szpaler dla orszaku jubileuszowego, najpierw na Rynku, potem w uniwersyteckiej ulicy św. Anny.

Pochód barwny był i różnolity. Nie brakło banderyj chłopskich, pańskich kontuszów (widzę imponującą postać hr. Lanckorońskiego), czerwonych tóg angielskich, kanarkowych francuskich, granatowych polskich. Pod kościołem św. Anny, w którym odbywać się miała uroczysta akademja, wraz z innymi „mundurkami“ odwołano mnie ze szpaleru do grupy dostojników, w której minister dla Galicji Piętak przedstawił mnie, ku wielkiemu memu poruszeniu, ministrowi oświaty, wybitnemu filologowi Hartlowi. Znalazłem się także później w barokowej świątyni uniwersyteckiej, pięknie udekorowanej gobelinami z Wawelu. Stał właśnie wtedy na trybunie Stanisław Tarnowski w majestatycznej gronostajowej todze rektora. Gromką owacją powitana została postać rozślawiającego już w Europie Polskę Henryka Sienkiewicza i, jeśli dobrze pamiętam, grupy Poznańczyków i Polaków z Ameryki,—a śpiewano właśnie na chórze końcowe Gorzyckiego: „*Gaude Mater Polonia!*“, gdy z za gromowej chmury czerwcowej wychyliło się znowu słońce i promiennym blaskiem oświeciło świątynię.

Popołudniu czy wieczorem dnia tego odbyło się jeszcze przedstawienie w teatrze, na którym wystawioną została m. i. „Odprawa posłów greckich“ Kochanowskiego, pod niebardzo fortunnie dobranym (w programie francuskim dla gości) tytułem: „*Le renvoi des ambassadeurs grecs*“.

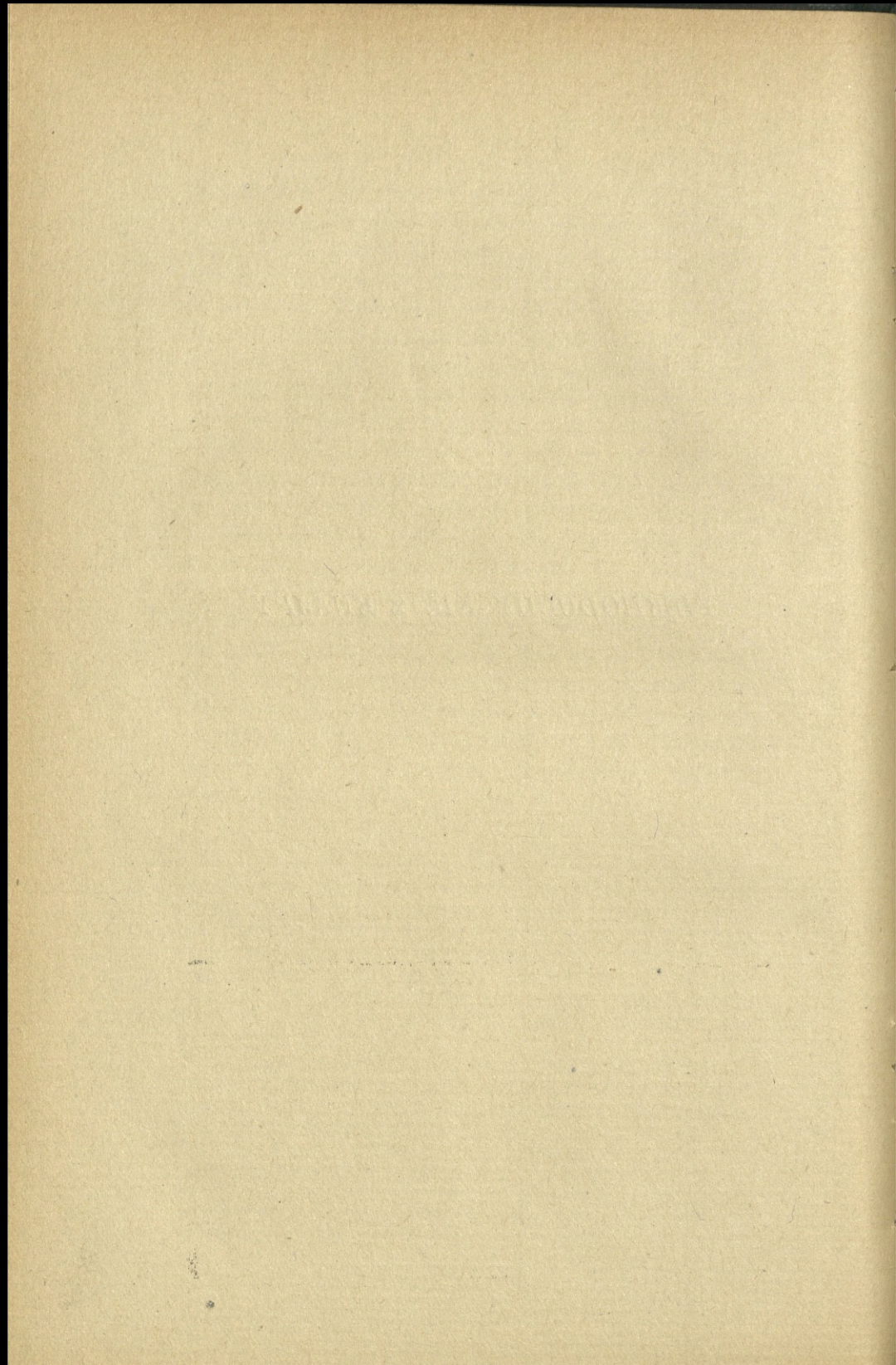
W jednej z łóż zwracała uwagę ogólną postać sędziwa delegata uniwersytetów włoskich, hrabiego Nigry, podówczas ambasadora w Wiedniu, tego samego, na którego wspierając się ramieniu, trzydzieści lat wprzód, uciekała z płonących już Tuileryj cesarzowa Eugenia. Nazajutrz, przy stale pogodnym czasie, w dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej, przed odsłoniętym świeżo pomnikiem Kopernika, ojciec mój klasyczną łaciną witał zaproszonych gości z Zachodu i Wschodu. Skończył się jubileusz uczta (jeżeli dobrze pamiętam) w „Sokole“, podczas której mnogość zwłaszcza wyrosłych na piaszczystych glebach Polski szparagów zadziwiała zagranicznych uczestników i — zbiorową wycieczką do Wieliczki (w brekach amerykańskich, dostarczonych przez Andrzeja Potockiego), gdzie nastąpiły nowe libacje tak hojne, że podochocony niemi biesiadnik (*a privatissime* gorliwy hakatysta), delegat uniwersytetu berlińskiego, niedawno zmarły Sachau, nie mógł powstrzymać się od wdrapania się na stół i huknięcia stentorowym głosem: *Noch ist Polen nicht verloren!*¹⁾

¹⁾ Wogóle z tymi niemieckimi delegatami, w dobie prześladowań pruskich i w roku poprzedzającym skandal wrzesiński, kłopot był oczywiście niemały. I nie byłoby przyjęli wcale, gdyby w ostatniej chwili nie był się wdał drogą telefonicznej interwencji ówczesny austriacki minister spraw zagranicznych, hr Gołuchowski, któremu zależało na tem, ażeby na wielkiej uroczystości polskiej pod berłem austriackim nie brakło reprezentantów wiernego sprzymierzeńca z nad Szprewy.

Na zakończenie tego, a raczej tych dwóch pierwszych następów: „Tusculum szlacheckiego“ i „Akademii wszelkich sciencyj pełnej“ przytoczę charakteryzującą dobrze istotę przedwojennego Krakowa anegdotkę:

Dziad młanowicie, siedzący pod kościołem Marjackim prosi przechodzącego o jałmużnę: „Panie hrabio, choć grosika!“ — „Nie jestem hrabią“ — odburknął spieszący się demokrat. „A więc“, — prosi się dalej dziad — „panie profesorze!“

PIĘKNODUCHY NIE Z KNAJPY



I

WSPOMINAŁEM już kiedyś, że na przełomie stuleci zmienił się charakter życia towarzyskiego w Krakowie, zdemokratyzował znacznie, a ono samo przeniosło się z salonów we właściwem tego słowa znaczeniu do pracowni i konwentyklów literackich, a nawet knajp. Przełom ten oczywiście uwydatnił się później, punkt jednakowoż jego zaczepienia usytuowałbym około r. 1896. Wówczas to—pamiętam dobrze, bywszy jej bezpośrednim sąsiadem — rozwija się i kwitnie słynna *taverne*'a Turlinńskiego „pod Pawiem“ przy ulicy Szpitalnej (świeżo opisana przez Boy'a), gdzie literaci i artyści, z Przybyszewskim na czele, topią troski swoje i zmartwienia lub też szukają natchnienia w czarnej kawie i wszelakim alkoholu.

Życie to nowe—w przeciwieństwie do starego, które operowało było pierwiastkami czysto literackimi (znamieniem epoki dla karnawałującego nawet Krakowa były modne i *courues* prelekcje profesora Tarnowskiego, muza Matejki była nierozłączną niemal z historjografią, a Klaczko, wcześniej coprawda, wykluczał był nawet potencjonalną możliwość rozwinięcia się plastycznej sztuki polskiej), życie to—powtarzam—oplotło się w znacznej mierze wokoło powstającej młodej sztuki, której patronował Witkiewicz, która przybyła do Polski w bagażach artystów, co kształcili się byli w Paryżu

(Gierymski, Chełmoński) i obecnie, we własnej osobie, pojawiać się zaczęli na bruku krakowskim. Dotychczas bowiem plastyka miejscowa stąpała niejako na koturnach, dostrajając się w ten sposób potrochę do „biczownictwa“ czy „żałobnictwa“ panującej tu szkoły krakowskiej: takim pamiętam Matejkę, zawieszonego prawie, niby nowoczesny Michał-Anioł, pod stropami świątyń krakowskich: Marjackiej czy wawelskiej, a nawet pogodniejszy i bardziej gawędziarski Juliusz Kossak też oderwać się nie mógł od historii. Z malarzy późniejszej doby, jedyny Malczewski — mimo czy w liczbie innych dziwactw, które płynęły z chorobliwego jego usposobienia — pozostał wierny poezji grobów, będąc sam także z ducha poetą, Wyspiański przynajmniej z nią walczyć się starał. Ale inni, przybysze z Zachodu, przynosili ze sobą dreszcz już zupełnie nowy, kult czysty, wyprany z aljażów intelektualnych, sztuki dla sztuki, a nieraz i różny *habitus* życia, zaprawiony w kabaretach paryskich, z całą skalą przeżyć i wzruszeń od absyntu do balów na Montmartre, jakżeż odmienny od cichego i bogobojnego bytowania pod Akropolą wawelską. Zjawił się Fałat, przymuszony do zerwania ze splendorami dworskimi w Berlinie występem krzyżackim swego dotychczasowego mecenasa (Wilhelma II), przybywali stopniowo z nad Sekwany: portrecista Axentowicz, pejzażysta Stanisławski, wszechstronny grafik Wyczółkowski, rzeźbiarz Laszczka i w. in., angażujący się do matejkowskiej Akademii sztuk pięknych.

Dla nowego i bujnego w sobie życia tego znaleźć się musiały ramy, i to nietylko w autonomicznym zakresie knajpy „pod Pawiem“, gdzie artyści i literaci żyli między sobą, ale inne także, w których obrębie danem by im było *épater le bourgeois*, a z czasem do swojej go sztuki oswajać. Takie

było — mam wrażenie — pedagogiczne i pośredniczące zadanie salonu tego szlachcica polskiego, jakim był z pochodzenia pan Ludwik Michałowski.

Coprawda i stary Kraków miał w sobie nieco *des Maezenatentums*, choć grubo jeszcze podszytego psychiką szlachecką. Wszak z umiłowania dla sztuki drapał się stary Popiel w archaicznym cylindrze swoim i halsztuku na niezliczone rusztowania i zakamarki, wszak Czartoryscy stworzyli byli azylum kulturalne na Woli, w którem pokutował jeszcze duch Szopena, wszak Zygmunt Pusłowski, a z czasem i Emeryk Hutten-Czapski nagromadzili w Krakowie właśnie bezcenne kolekcje, owe *monumenta patriae naufragio erepta*. Wszakże syn szlachecki, Stanisław Koźmian¹⁾, poważny szmat życia poświęcił bez reszty kulisom i widowni, podczas gdy inne dziecko obywatelskie z pod Krakowa, Władysław Żeleński, komponować będzie opery, europejski zaś znawca Renesansu, a równocześnie teoretyk konserwatyzmu polskiego, Juliana Klaczko, w Krakowie przepędzi starość i życia tutaj dokona.

Ale w tym czasie wytwarza się dopiero tak charakterystyczny dla późniejszego Krakowa, a wówczas gorszący jeszcze współczesnych typ „piękno-ducha“, *Schöngeist*’a, żyjącego sztuką dla sztuki, typ wyśmiewany później przez „Boy”a, kiedy mówił, że każdy krakowianin — „goły i inteligentny“. Inny był bowiem zupełnie przed tą epoką szlak ludzi, zajmujących się teoretycznie czy kolekcjoner-sko sztuką, a zgoła odmienny ten, który się rozwinie na kulturze „*Schöngeistere*“.

II

Do pierwszego — choć całkowicie ze sobą niewspółmierni — należeli Stanisław Tomkowicz

¹⁾ Nie mówiąc o Zygmuncie Cieszkowskim, improwizowanym i zresztą niefortunnym *impresariu* oper polskich.

i Edward Raczyński. Tomkowicz, dziecko Krakowa czy conajmniej podkrakowskie, po kądzieli wnuk kasztelana-poety Franciszka Wężyka, fundatora polskiej Akademji Umiejętności, człowiek o dużych zamiłowaniach estetycznych, którym dał był wyraz, zarówno kiedy odtwarzał za młodu, jeden z pierwszych, na podstawie użyczonych sobie rękopisów wielkiego zbioru popielowskiego, kulturalny wiek Stanisława-Augusta, jak również o rozległej i precyzyjnej kulturze muzycznej, która go zbliżała np. do Władysława Żeleńskiego, — zostanie jednak przedewszystkiem w historii artystycznej Krakowa takim, jakim go uwiecznił Malczewski na portrecie w Muzeum Narodowem, na tle starodawnych baszt i murów, pozostanie jako konserwator z ducha — zmodernizowanego — Pawła Popiela, jako znawca każdego zakątka Krakowa i niejednego klejnotu architektonicznego Polski, jako restaurator i monograf Wawelu. Obdarzony językiem ciętym, prawdziwie wężykowskim, weredyk, gotów do urażenia mocnej chociażby i wpływowej jednostki, skoro mu chodziło o sprawę, w dosyć oportunistycznym i zbizantynizowanym na smaku prowincjonalnym Krakowie reprezentował Tomkowicz zdrowy i dodatni typ szczerej kultury szlacheckiej.

Reprezentantem kultury magnackiej był za to Edward Raczyński. Z wielkopańskiej pochodzący rodziny, wychowaniem zbliżony do mojej własnej, skoro w zastępstwie marzycielsko a młodo zmarłego ojca i nie egzystującej legalnie matki, opiekę nad nim roztaczał moj dziadek, tak już w kolebce przyniósł ze sobą na świat Raczyński pewne romantyczne znamiona, które przyszło mu w dalszem rozwinąć życiu, a które były zresztą właściwością tej artystycznie usposobionej rodziny, gdzie przeróżne wydarzały się i tak niezwykle przygody, jak samobójstwo np. pierwszego mecenasa rodu, star-

szego pana Edwarda. Dzieckiem, z Wrocławia czy Ostrowa, z pod niezbyt czujnej opieki swojego pełnego „ataraksji“ guwenera, pana, później ojca, Stefana Pawlickiego, uciekł pan Edward z jednym towarzyszem z pensjonatu, na którym się chował, z zamiarem przedostania się do obozu kozaków tureckich Sadyka-Paszy. Gdy się ta wyprawa nie udała, młody Raczyński — w kilka lat później — zaciągnął się do wojska papieskiego i, ciężko ranny w bitwie pod Mentaną, dwadzieścia cztery godziny przeleżał na polu bitwy, zanim odnaleziony został i przewieziony do Rzymu przez krewną swoją, księżnę Odeschalchi.

Podczas wojny francusko-niemieckiej 1870/1 r., sympatja do Francji pociągnęła go, poddanego wówczas niemieckiego, znowu do obozu, zdaje się pod Metz czy też gdzieindziej, choć, o ile mi wiadomo, nie zdołał przybyć na czas, ażeby wziąć udział w walce. *Homme à femmes*, godny najlepszych tradycyj Drugiego Cesarstwa, żonaty był dwukrotnie, pierwszy raz z córką Zygmunta Krasieńskiego, Marylą, drugi — z Różą z Potockich, osobą znacznej wytrawności politycznej. Nadwątłone zdrowie — mimo, że do późnej starości w nad wyraz krzepkiej utrzymywał się kondycji — skłaniało go w latach dojrzałych do dalekich podróży w ciepłym klimacie: i tak w towarzystwie mojego stryja Zdzisława, który stał się kronikarzem tej wyprawy, objechał Raczyński Amerykę południową, kiedyindziej dotarł na Wschód Daleki, nie mówiąc o licznych sezonach, spędzanych we Włoszech czy Paryżu. Z wojażów tych i wielkiego świata, w którym bywał, wyniósł ogładę towarzyską niezwykłą, niepowszednio władał językami, ale rewelacją wprost stał się, dla cudzoziemców nawet, wyrobiony na tle darów przyrodzonych i ciągłego kontaktu z europejskimi środowiskami sztuki

zmysł jego rozpoznawczy w stosunku do dojrzewających dopiero talentów malarskich, których w „Salonie” paryskim przeczuł tak i zdeterminował cały szereg, co dało mu sposobność wzbogacenia swojej, pierwszej w Polsce co do wartości, nowoczesnej galerji rogałńskiej pokazną liczbą arcydzieł. Od dziecka stykałam się z tą postacią o oryginalnym i pańskim wyglądzie, tem łatwiej i częściej, że uważał się on prawie za brata z wyboru i wychowania mojego ojca, stryjów i ciotek — i słuchałem jego na bogatym doświadczeniu życiowym opartych opowiadań, które zalecały się, ale zarazem grzeszyły też czasem, zbytnią dokładnością szczegółów.

III

Do drugiego, wzmiankowanego przezemnie wyżej szlaku „*Schöngeist*ów”, należał Konstanty-Marjan (Kocio) Górski. Przez żonę, z domu Chłapowską, szwagier mojego ojca, i on, w późniejszych zwłaszcza latach swojego w Krakowie pobytu i już po powrocie z Paryża, gdzie przez lat parę sprawował był funkcje delegata Akademji Umiejętności, częstym w domach moich rodzinnych bywał gościem. Człowiek nietylko wszechstronnej kultury literackiej i artystycznej, cytujący z pamięci stronie całe Horacego, Goethego i Heinego, nietylko wyszkolonego smaku krytycznego w stosunku do dzieł plastycznych, nietylko zręczny, głęboko czujący, a czasem ^zi głęboko wzruszający poeta — dość wymienić transkrypcje z Horacego oraz wiersze na pogrzeb Mickiewicza i na inaugurację teatru w Krakowie — Górski był w dodatku dobrym nawskroś i subtelnego serca człowiekiem. Zawodów życiowych miał sporo: jeden z nich stoi mi żywo przed oczyma, kiedy to, jeżeli się nie mylę w roku 1901, ubiegał się wraz z Feliksem Koperą o dyрекcję

Muzeum Narodowego po śmierci Łuszczkiewicza. Współzawodniczyły ze sobą w tych dwojgu ludziach dwa sprzeczne wprost ze sobą typy polskiej i krakowskiej kultury: jeden z nich, Górski, wyrafinowany spadkobierca naszej szlacheckiej spuścizny cywilizacyjnej, ale obarczony także przeżytkami i wątpliwymi dobrodziejstwami jej inwentarza: marnem zdrowiem, zbyt skrupulatną, a przez to zbyt powolną, cyzelatorską i destylującą metodą tworzenia, wewnętrzną wreszcie melancholją, drugi, Kopera, syn ludu, rzeźki i energiczny organizator, który musiał zwyciężyć w tym sporze. W małym znaczącej napozór kontrowersji streszcza się, zdaniem mojem, cały proces przetwarzania się kultury krakowskiej w owych latach, t. j. stopniowe i systematyczne branie góry żywiołów bardziej demokratycznych, niewątpliwie sprawnych i uzdolnionych, ale co do skali swojej i trwałej wartości, — oczywiście nie mam tu na myśli prawdziwych zasług kulturalnych dyrektora Kopery — nazbyt często, pod względem zwłaszcza rozległości horyzontów, pośledniejszych od swoich poprzedników.

Salon pana Ludwika Michałowskiego miał to do siebie, że łączył i jednoczył żywioły nieraz ze sobą sprzeczne, których osmoza i transfuzja w Krakowie na wybitne natrafiały trudności. Nie jestem w stanie z pamięci dokładnie ustalić¹⁾, jakie się właśnie przez salon ten przesunęły osobistości, ale mogę naogół skonstatować, że pod wpływem takich właśnie czynników, „neutralnych“ jak pan Ludwik, czyli pod wpływem niwelującego różnice ducha czasu, następowało zbliżenie pomiędzy owymi demokratycznymi bardziej elementami, jakie się kupiły dookoła „Reformy“, a tymi, tradycjonalistycznymi.

¹⁾ Michałowski umarł, o ile dobrze pamiętam, w r. 1899, kiedy byłem jeszcze w gimnazjum.

stycznie jeszcze konserwatywnymi, jakie się grupowały wtedy wokoło „Czasu“. Do „Reformistów“ należał przede wszystkim Asnyk, tak bardzo perhoreskowany przez Tarnowskiego, należał Mieczysław Pawlikowski, ojciec Tadeusza, pierwszego dyrektora odrodzonego w nowym gmachu teatru krakowskiego, zbliżała się do nich zapewne szlachecka postać Sewera-Maciejowskiego, który w dobie „Życia“ i całej Przybyszewskiady otworzy dom swój na oścież zgłodniałej a zwłaszcza spragnionej rzeszy literatów i artystów. Wyrazem osobliwszym demokracji krakowskiej był wreszcie komedjopisarz Bałucki, zaprawiający wesołe swoje farsy głęboko nieraz ukrytą a gorzką ironją zabiedzonego krakowskiego inteligenta, sarkazmem życia, który go doprowadził wkońcu do samobójstwa.

Na pograniczu dwóch światów i dwóch epok stał Sienkiewicz, z chudego literata warszawskiego wyrosły, ale siłą talentu wyniesiony na wyżyny społeczne i w tym właśnie czasie poślubiający w Krakowie niedostosowaną do siebie córkę zamożnego i zapewne nie wolnego od przesądów i snobizmów podolskiego domu szlacheckiego.

IV

W każdym razie, w pierwszym okresie mojego dzieciństwa, demokrację czyli „tromtradrację“ od konserwatyzmu czyli „stańczykerji“ niezasypana jeszcze oddzielała przepaść. Zwolennicy pana Pawła Popiela i pana Artura Potockiego wyklinali i odżegnywali się od przywódców obozu przeciwnego. Tamtego zapatrywania dochodziły mnie chyba okólnymi szlaki, przez zabłąkanego z emigracji paryskiej guwernera, którego psychologja polityczna obracała się w zakresie wspomnień z 1863 r., apologii Buszczyńskiego i kazań księdza-Pijara Chromeckiego. Koźmian zwłaszcza — za swoją „Rzecz

o roku 1863^a — był prawdziwą *bête noire* tego obozu.

Muszę się przyznać, iż moje sympatje dziecinne, jako że się prawie na „Czasie“ czytać nauczyłem i żyłem pod suggestją tego, co mówił mój ojciec, były w pełnej mierze po stronie ówczesnych „Stańczyków“. Przypominam sobie chwilę, kiedy to do wiedeńskiej Rady Państwa kandydował z obozu konserwatywnego mój ojciec chrzestny Tomkowicz, a obóz demokratyczny wysunął był przeciwko niemu późniejszego z czasem konserwatystę, Augusta Sokołowskiego. Walka piórem i na wiecach była zażadła; o ile pamiętam, czynnie wmieszany był w nią nawet drugi mój ojciec chrzestny, stary Popiel i musiał na jednym ze zgromadzeń rejterować z trybuny. Dość, że moja wyobraźnia dziecinna tak bardzo rozigrana została perypetjami tej walki, iż, pod wrażeniem tłumów, zbierających się wieczorem w dniu wyboru na Rynku, aby powitać i uczcić zwycięstwo kandydata demokratycznego, ułożyłem poemat okolicznościowy, w którym, po nakreśleniu epizodów elekcyjnych, konkludowałem z przejęciem:

Tomkowicz smutno pochylił czoło,
Sokołowskiemu za to wesoło.

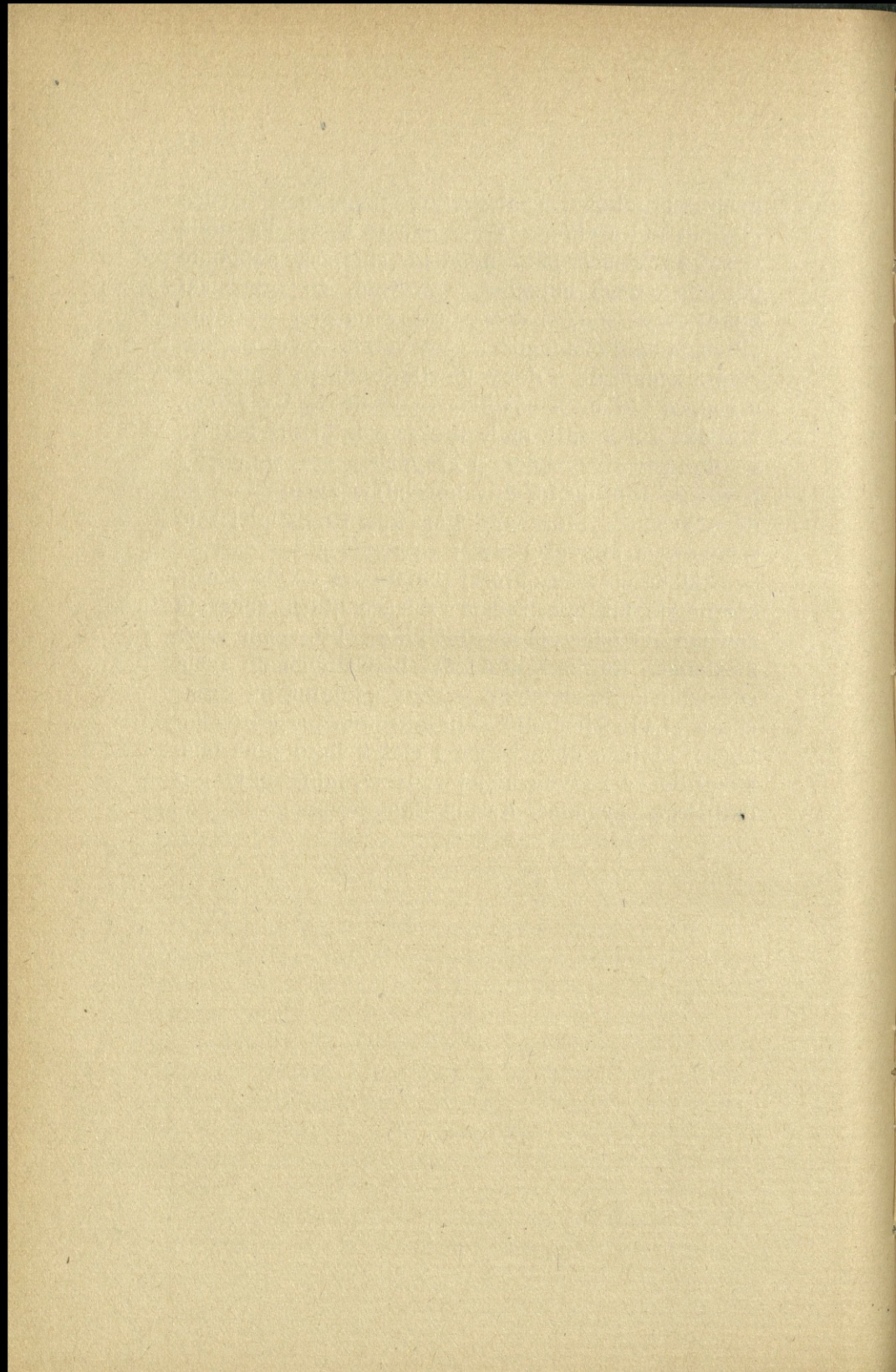
Drugim momentem, który silnie oddziałał na moją fantazję dziecinną, były gościnne występy „cioci“ Heleny Modrzejewskiej. Teatru Koźmianowskiego już nie znałem i pamiętam go tylko z tradycji, za to byłem poniekąd przy urodzeniu się sezonu Pawlikowskiego, bo na przedstawieniu inauguracyjnym nowego teatru (w listopadzie 1893 r.). Tam to w oczach moich wschodziły na scenie wszystkie te gwiazdy pierwszego i drugiego blasku, z których nieliczne tylko jeszcze świecą dzisiaj, głównie na warszawskich scenach. Tu i w tym czasie wynurzali się nieznani, lub mało jeszcze pu-

bliczności znani: Kamiński, Solski, zmarli przedwcześnie Mielewski, Roman, Siemaszko, Popławski, Przybyłowicz; z dawniejszych — Lubicz, Sobiesław, Śliwicki; z kobiet zaś — Trapszówna, Morska, Pomian-Solska, Siemiaszkowa, Siennicka i t. d. Z dawnej krakowskiej sceny pamiętam także jeszcze Hoffmanową.

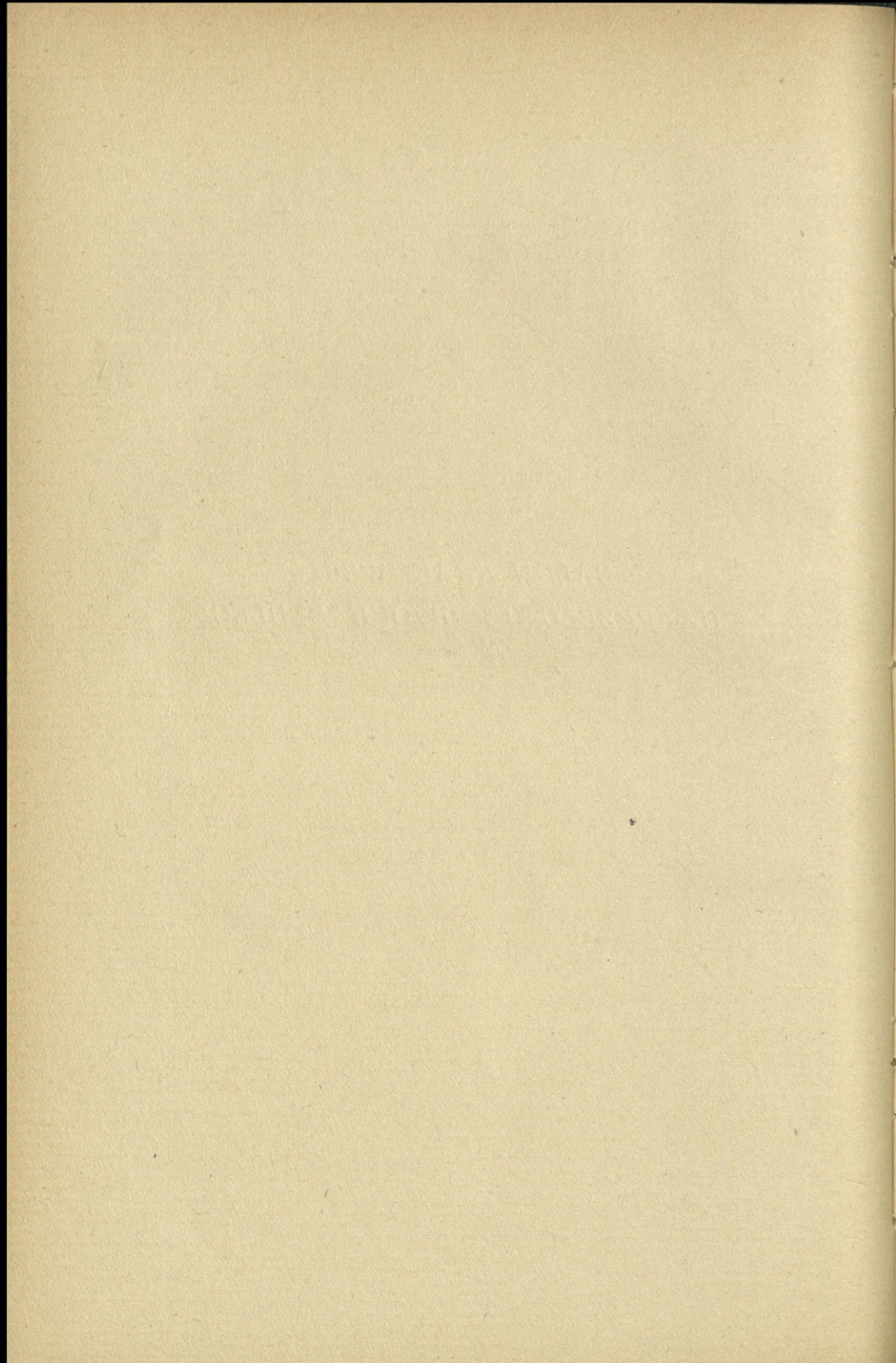
Repertuar, stworzony przez Pawlikowskiego, odpowiadał ze wszech miar wartości zaangażowanych przez niego sił aktorskich. Prócz rodzimej sztuki dramatycznej, kultywowanej również za Koźmiana, prócz Fredry i Słowackiego, dbał nowy dyrektor w wyższym, niż działo się to poprzednio stopniu, a wielki repertuar klasyczny oraz zagraniczny dramat nowoczesny. Z takich nowych kreacji teatralnych pamiętam zwłaszcza świetne wystawienie niektórych sztuk Szekspira, jak „Poskromienia złoŹnicy“ z Leszczyńską w roli tytułowej, a przede wszystkim niezrównanego „Wieczoru trzech króli“ z Solskim jako Chudogębą, Kamińskim jako Malvoliem, Romanem jako Czkawką, Modrzejewską jako Violą, Popławskim, Przybyłowiczem, Siemaszką i t. d. Pamiętam także pierwszy z wieczorów „nastrojowych“ stosującego się do nowych prądów i dreszczów teatru: „*Hannele*“ Hauptmanna, wystawioną przed widownią obwieszoną kirami żałobnymi (za jednej z następnych dyrekcji wystawić miano z podobnymi rekwizytami „*Wnętrze*“ Maeterlincka). Nie byłem natomiast — *et pour cause* — dopuszczony do oglądania budzącej skandal w pobożnym jeszcze Krakowie „*Lizystraty*“, w której główną atrakcję, obok aluzji lokalnych, wstawionych do tekstu przez Koźmiana, stanowił bardzo podobno gruntowny jak na owe czasy dekoltaż nadobnego żeŹskiego personelu teatralnego. Dodam w końcu, że teatr tworzył wówczas w Krakowie — odmiennie od dzisiejszych nieco zamerykanizowa-

nych warunków — integralny i znaczący bardzo czynnik kulturalnego życia miasta i, że dla mnie w szczególności, jako młodego chłopca, podobnie jak dla moich kolegów — prawda, że przez lat kilka uczył mnie i dozorował recenzent teatralny „Przeglądu Polskiego“ — wszystkie owe ewenementa sceniczne z doby Pawlikowskiego i późniejszych, o ile im się tylko przypatrywać mogłem, nietylko inicjowały mnie bezpośrednio, niż lektura do literackich rozkoszy i arcydzieł, ale stanowiły pewnego rodzaju idealny korelatyw życiowy — aż do „Wesela“, które się stać miało najsilniejszym scenicznym młodości mojej wrażeniem.

Modrzejewską, której piękność w owym czasie szarpnięta już była zębem czasu, a której aparycja zewnętrzna uderzała najsilniej instynktownym przeniesieniem form i afektacyj teatralnych do życia codziennego, oglądałem — poza genialną jej kreacją w „Lady Macbeth“ — parokrotnie jeszcze w salonach mojego ojca, babek i ciotek jako żonę bliskiego dosyć kuzyna mojej rodziny, niezwykle gadatliwego „cygana“, Karola Chłapowskiego.



*SALON KRAKOWSKI
NA PRZEŁOMIE DWÓCH STULECI*



I

ZASTRZEGŁEM się był już parokrotnie w ciągu tego opowiadania, że nie pretenduję bynajmniej do narysowania nawet w przybliżeniu pełnego obrazu starego Krakowa. Powtórzyć muszę zastrzeżenie tej treści — zwłaszcza wobec mnożących się w ostatnich czasach publikacyj i zainteresowania się rodzinnem mojem miastem — także w odniesieniu do jego *fin de siècle* — salonów. Wybieram *ce que mes yeux ont vu*.

Wieczorami schodziło się w salonie moich ciotek i ojca (na Szpitalnej, w domu dawniej Skorupków, dzisiaj Raczyńskich) całe grono dalszych i bliższych znajomych, swoich a nieraz i cudzoziemców. Ze swoich — najczęstszymi bywali gośćmi wspomniani już wyżej w tekście: Edwardowie Raczyńscy, Stanisław Tarnowski, Henryk Sienkiewicz, Stanisław Tomkowicz, Jerzy Mycielski, Ojciec Pawlicki, Ojciec Morawski, Wilhelm Creizenach, Konstanty Górski, Marjan Sokołowski, Stanisław Smolka, Marjan Zdziechowski, Karol Potkański, Jacek Malczewski, Władysław Żeleński, Bolesław Ulanowski, a dalej: Jan i Paweł Popielowie, Andrzej Potocki, redaktorowie „Czasu”: Ludwik Dębicki, Michał Chyliński, Antoni Beaupré, Rudolf Starzewski, Stanisław Kopernicki; Lucjan Rydel, Władysław Łoziński, Bronisław Kader, Bolesław Wicherkiewicz, Adam Miodoński, Aleksander Brückner,

Jan Bołoz-Antoniewicz, Wincenty Lutosławski, Józef Kallenbach, Stanisław Witkowski, Piotr Bieńkowski, Józef Milewski, Edmund Krzymuski, Kazimierz Kostanecki, Ludwik i Piotr Górscy, Adam Sierakowski, Kazimierz i Franciszek Chłapowscy, Emeryk Hutten-Czapski, Władysław Zamoyski z Zakopanego, Konstanty Przewłocki, Aleksander i Leon Mańkowscy, Jan Żółtowski, August Cieszkowski (młodszy), Adam Czartoryski, Stanisław -Henryk Badeni, Józef Kotarbiński i wielu, wielu innych.

Osobną wśród gości rubrykę stanowił kler, jako że moja ciotka Konstancja była gorącą „matką Kościoła”. Widywałem więc w gościnie, bądź u niej, bądź u ojca mojego, bądź dawniej jeszcze u obu moich babek : kardynałów Dunajewskiego i Puzynę, późniejszego kardynała Dalbora, arcybiskupa warszawskiego Popiela, późniejszego arcybiskupa poznańskiego Likowskiego, późniejszego arcybiskupa mohylowskiego Roppa, późniejszego biskupa przemyskiego Pelczara, prałatów Starowieyskiego, Chełmickiego i Chotkowskiego, Redemptorystę O. Bernarda Łubieńskiego, Jezuitów: Badeniego, Bratkovskiego, Morawskiego i t. d.

Rozmowa toczyła się bardzo wartko, podniecana żywotnością ciotki mojej, błyskotliwością umysłu jej braci. Tematy poruszane były najróżnorodniejsze. Słyszałem więc „pana Edwarda” (Raczyńskiego), opowiadającego o swoich amerykańskich i azjatyckich podróżach, Sienkiewicza—już po „*Quo vadis*”, i po „Połanieckich”, co poruszyły były Kraków zrozumiałemi dla niego bezpośrednio osobistemi w nich aluzjami, a w dobie pisania chciwie przez nas właśnie wyczytywanych „Krzyżaków”—, jak dźwięcznym niby metal głosem wsłuchującemu się w ten głos audytorjum kreślił barwnie zawsze podawane szczegóły z własnej biografji. Tarnowski, w liczniejszym zwłaszcza gronie, milecza

najczęściej zażenowany, wybuchowy za to siostrzeniec jego Mycielski, Tomkowicz oraz Sokołowski lubili ze swojej strony dużo mówić, najskwapliwiej zaś o artystycznych wojażach, zabytkach i wystawach. Creizenach dostarczał anegdotek, najchętniej ze świata żydowskiego, przyczem duże usługi mimiczne oddawał mu własny typ semicki. Ojciec Pawlicki jadł dużo, wykladał chętnie na jakiś z góry obrany temat, niebardzo lubiąc, by mu przerywano, a w późniejszych latach życia wypoczywał po jedzeniu i drzemał nawet. Ojciec Morawski biegał nerwowo po pokoju, a z nim rozbiegały się nieskoordynowane członki chorego jego organizmu. „Kocio“ Górski słowa cedził, ważył, cyzelował, od czasu do czasu zacytował z przejęciem jakiś wiersz, napozór wyglądał zrównoważony, pogodny, zręcznie i życzliwie wtrąconem słówkiem łagodził impety i furje kolegów po fachu: Mycielskiego i Sokołowskiego. Smolka prawił w tym salonie o swojej pracy twórczej, związanej z historją Lubeckiego, o przybranej sobie za drugą ojczyznę Litwie, o uмиłowanej przez siebie trzeciej ojczyźnie Austrii. Zdziechowski — nieśmiało wyrażał subtelne i przemyślane sądy o rewolucjonizowanej właśnie po raz pierwszy Rosji. Potkański wydawał się, jak na precudnym portrecie kuzyna — Malczewskiego, żywym uosobieniem ambulującego sceptycyzmu. Ulanowski, gdy czasem się zjawił, chrypliwym głosem poruszał myśli najciekawsze w formie nader arbitralnej a z wielką w treści erudycją. Inny erudyta — domorośły — Jan Popiel, charakterystycznie się jākając, cedził esencje mądrości szlacheckiej, ultrakatolickiej, która go nawet do pochwał inkwizycji zachęcała¹⁾. Mniej od nie-

¹⁾ Wspomniałem już był wyżej, że dom Popielów uchodził mógł za kolekcję szlacheckich arcyrarogów. Po śmierci

go jednolitym i zrównoważonym był jego brat, profesor Paweł. Filolog Miodoński udzielał nam skarbów swej miodopłynnej iście wymowy i głębokiej znajomości starożytnego chrześcijańskiego świata. Rydel gadał bez przerwy i bez końca, nigdy natomiast bez potrzeby i głębszego uzasadnienia rozwijający się dopiero Rudolf Starzewski. Zabawnie i z życiem fantazjował chirurg — Litwin, Kader, a wił się i epatował paradoksami barokowy Ormianin Antoniewicz. Pontyfikował od czasu do czasu stary prezes Ludwik Górski z Warszawy, „Zbąski” ze „Sprawy Dołęgi” Weyssenhoffa, „plastronował” jego siostrzeniec, polityk krakowski, garbaty Piotr Górski, pełen tajemnic i arkanów, o którym słusznie mawiał Klaczko, że *„jusqu’ au bonjour il le dit à l’ oreille”*. Rozkoszny a frywolny zachodnio — Prusak, podróżnik, a drugi obok Raczyńskiego zięć „Baranów”, Adam Sierakowski, miał zawsze w zanadrzu swojego mózgu do dyspozycji jakąś osobliwość przywiezioną z podróży, lub conajmniej jakiś zachwyt dla płci pięknej. Stary pan Kazimierz Chłapowski, syn generała, żył wyłącznie w świecie jeszcze powstania listopadowego, znał każdą z tych

starego pana Pawła berło wśród nich objął z pewnością ów pan Jan. Chrześcijaństwo jego cechowała — jak u wszystkich pono członków tego rodu — średniowieczna jakby pogarda śmierci, oparta na chłopskiej prowdziwie prostocie. Jej przykładów cytowało się sporo, jak chociażby, kiedy przed jedną z rezydencji wiejskich Popielów zajechał był pan Jan z trumną, przeznaczoną dla brata, podczas kiedy ten brat, dobrze jeszcze żywy i siedzący w oknie, mógł się przypatrywać owemu pogrzebowemu iście widokowi — lub też, kiedy do karawaniarza na pogrzebie innego brata wołał był Jan, podpierając kroczącą za zwłokami matkę: „Powoli tam z panem Marcinem, bo matczyisko nie nadaży!”. Z takich to rysów, którym pokrewne cytuje we wspomnieniach swojej młodości Lucjan Rydel, mógł być korzystać Sienkiewicz dla konstrukcji typów swoich szlacheckich w „Krzyżakach”.

czasów bitwę i każdą ważniejszą osobę, a zamiłowanie to przekazał synowi i imiennikowi — późniejszemu historjografowi wyprawy litewskiej dziada. Szwagier Kazimierza Chłapowskiego, doktor Franciszek, genialny djagnosta, palił za to głośno i bez żadnych obsłonek, w rozpędzie zapału profesjonalnego, najświeższe a drażliwe czasem, prawdy i teorie medykalne. Chłapowscy przyjeżdżali z Poznńskiego, z Litwy czy raczej Białejrusi organizujący tu wówczas muzeum swoje Emeryk Czapski, z żoną, protestantką, Meyendorffówną z domu, potomkinią znanego dobrze w Polsce Stackelberga. „Księstwo“ reprezentowali jeszcze liczni i licznymi związani z moją rodziną węzłami, dużego dorabiający się wtedy majątku i znacznej pozycji Żółtowscy, a obok nich inny milioner, August Cieszkowski, syn filozofa, człowiek zresztą o biblijnym zakroju i sposobie wyrażania się, potentat pamięci, a zarazem wydawca i tłumacz dzieł swojego ojca. Odgłosy Podola przywoził osiadły w Krakowie podczas pierwszej rewolucji rosyjskiej powieśćcio — i komedjopisarz Aleksander Mańkowski, żonaty z piękną i uroczą Włoszką, księżniczką di Carpegna-Falconieri. Częsty bywalec miejscowy, jeden z najdawniejszych redaktorów „Czasu“, Ludwik Dębicki, opowiadał ciekawie, lecz niezawsze dokładnie o starych czasach i starym Krakowie, przyczem od ojca mego, pedanta naukowej ścisłości, obrywał nieraz, jeżeli nie za swoje własne, to przynajmniej za „Czasu“ błędy korekty i faktyczne przevinienia¹⁾.

¹⁾ Od takich *lapsusów* roiło się w pismach Dębickiego, który opowiadał czytelnikom o ks. Józefie, tonącym w nurtach Elby, o swoich obserwacjach „nadodrzańskich“ z terasy Brühlowskiej w Dreźnie i t. d. i t. d. A i „Czas“ umiał na własną rękę palnąć byka, jak chociażby, kiedy cytując w r. 1899 — jeżeli się nie mylę — mowę Brandesa

Andrzeja Potockiego, późniejszego namiestnika, słyszałem był kiedyś, wielkanocną porą, opowiadającego swoje wrażenia z walki byków, kiedy był *attaché* poselstwa austriackiego w Hiszpanji. Władysław Zamoyski, syn generała, rozpierany „puchliną szlachecką“ idealista, pieniał się zawsze na wszystko i wszystkich, a osobliwie na Austrię, na żydów, na władze miejscowe, nieraz słusznie, choć tą porywczością sprawom szkodził. X. Jan Badeni referował dojrzewające coraz bardziej kwestje społeczne na tle badanej przez siebie nędzy krakowskiej. Lektor języka angielskiego w uniwersytecie, Dziewicki, opowiadał o emigracji polskiej w Anglii i wogóle o tamtejszych stosunkach, podobnie jak autor cennych „Wakacyj w Anglii“, Tadeusz Smarzewski.

Bywał także filozof Lutosławski—przed intoksykacją, jakiej podlec miał w Krakowie, na katedrze swojej „wykładów jagiellońskich“, tak częstą i szkodliwą w Krakowie intoksykacją popularności. Doroczne posiedzenia Akademji Umiejętności, na których bywaliśmy stale, sprowadzały do salonu mojej rodziny szereg także gości z uniwersytetu lwowskiego. Z miejscowych jeszcze — zjawiali się dość często: jowjalny prałat — polityk Chotkowski, złotousty retor Milewski, prawnik Krzymuski, „prozaik polski i francuski“ — jak o nim pisał był satyrycznie „Kocio“ Górski, aludując do jego przesadnej francuszczyzny, a który zasłynął podczas jubileuszu cesarskiego w r. 1898, obfitującego w deszcz odznaczeń, kiedy to, udekorowany orderem Żelaznej Korony III klasy, powziął był pomysł urzędzenia zbiorowej uczty dla udekorowanych,

(za pobytu jego w Krakowie), który dziękował — niepozornemu z postaci — Zdziechowskiemu za oprowadzenie go po Krakowie „niby kornak malajskiego słonia“, wydrukował, „niby komar małego słonia“.

jak on sam, kolegów, przy której podobno wszyscy nowokreowani kawalerowie orderów usadzeni zostali na wyższych i ozdobniejszych fotelach, niż reszta zaproszonych śmiertelników. Z malarzy — Malczewski wyłaniał się rzadko, frapował swojemi dziwactwami, ale nieraz rozmawiał wymownie i interesująco, kiedy np. — pamiętam — uświadamiał mnie z zapałem na punkcie znanej mu z młodzieńczych studjów jego w Paryżu, niedosyć zaś ocenianej w ówczesnej Polsce, przysłowiowej pracowitości Francuzów. Siostrzeniec domu, Józef Plater, znany dobrze całej Warszawie ze swego humoru i facecyj, a studjujący (?) wtedy w Krakowie, przyprowadzał od czasu do czasu dla ożywienia atmosfery bawiących lub bawiących się z nim młodych ludzi: był wśród nich Stanisław Henryk Badeni, syn marszałka Galicji, chodząca już nie encyklopedia, ale „Gotha“, połączona z krakowskim schematyzmem „Czecha“ w jednej osobie, umiejący wymienić po imieniu i nazwisku wszelakich posłów do parlamentu i sejmu, ministrów, ba ! nawet aktorki. Towarzyszyli im czasem: ordynat Adam Czartoryski, syn Orleanki, Adam Tarnowski bodaj, późniejszy ambasador, młodzian hardy i ponury, a napewno dramaturg ówczesny, Bohdan Ronikier, którego pamiętam dobrze, stojącego przy fortepianie w monoklu na oku i w trzewikach z nieprawdopodobnemi kokardami.

Kwestje aktualne wywoływały przeciągłe nieraz a namiętne dyskusje. Omawiało się z redaktorem Mycielskim każdy numer „Przeglądu Polskiego“ *post* i *ante factum*, omawiano budzące sensację, a czasem zdziwienie, rozpoczynające się właśnie impresjonistyczne wystawy „Sztuki“ oraz rodzący się sukces Wyspiańskiego, krytykowano restaurację Wawelu, ale z pietyzmu dla restauratora — kardynała Puzyry także i zjadliwe na nią

ataki zdolnego Ludwika Puszeta, których druk, z nakazu akcjonariuszów pisma, musiał być Starzewski, dla wyżej podanych względów, w „Czasie“ przerwać. Kłócono się z okazji obchodzonego jubileuszu Puszkina, w którego urzędzeniu żywy brał udział mój ojciec, o neoslawizm podszyty rusofilją, propagowany głównie w tym czasie przez Zdziechowskiego, a który zwalczała ze łzami w oczach przejęta tradycjami polityczno-literackimi Wielkiej Emigracji ciotka moja.

Milkły dyskusje, gdy do fortepianu zasiadał Władysław Żeleński, snujący nieraz żartobliwe muzyczne transpozycje Szopena lub też gdy Konstanty Przewłocki, uczeń wiedeńskiego Leszetyckiego, wdzięcznie zagrał Liszta, Griega czy też Schumanna.

Z cudzoziemców przewijali się: życzliwie wtedy jeszcze dla Polski usposobiony Jerzy Brandes, inni goście z Danji: Pontoppidan i Larsen, ze Szwecji — Jensen, z Rosji — historyk Karejew, z Anglii — pół-Anglik, kuzyn nasz Bedenham-Łubieński, z Francji publicysta André Chéradame i poeta-historyk Pierre de Nolhac, mignęło się też kilku austriackich wojskowych: generał Nostitz, Blanckenstein, Esterhazy.

Bywały czasem spotkania napozór niewczesne, ale harmonizowane odrazu darami towarzyskimi mojej rodziny. I tak jednego czy paru wieczorów zetknęło się w tym salonie tego rodzaju towarzystwo: feudał czeski, hr. Nostitz-Rieneck, uważający się za potomka Lohengrina, arystokratka kurlandzka hr. Czapska i... aktor K. Wprawdzie w Krakowie z końca wieku XIX mniej było przesądów, niż we Francji na schyłku XVIII-go, ale zawsze sztywny potomek Lohengrina musiał się być zapewne przewzcięty na pierwszy widok wchodzącego z nim do jednego salonu „komedjanta“.

II

Chadzaliśmy czasem rodzinnym taborem do Dunajewskich, do starego pana Karola Raczyńskiego, rzadziej i raczej później — na święcone „pod Barany“, na święcone także do delegata Fedorowicza, a dalej: do pani Konstantowej Branickiej, do Dębickich (na „Wenecję“), do kardynała Puzyny.

Salon byłego ministra Dunajewskiego nosił na sobie piętno biurokratyzmu, — o ile przynajmniej chodzi o dobór towarzystwa — tej „noblesse de robe“, jaką w pewnej mierze wytworzyła była w Galicji Austria. Gospodarz, właściwy już w tym czasie, po śmierci Popiela i Szujskiego, w nieobecności Bobrzyńskiego, a przy akademickości Tarnowskiego, szef stronnictwa krakowskiego, dużej zażywał powagi, a niejeden z członków podwładnej mu partji drżał w sercu swoim przed mogącą grozić ze strony jego burą. Przyjęcia w domu Dunajewskich odbywały się, o ile pamiętam, tylko na Boże Narodzenie. Widzę obszerny salon willi przy ulicy dziś nazwiska gospodarza, w nim jego namarszczoną i przesłoniętą ślepotą sylwetkę, obok niego w biedermyerowskim stylu gospodynię, z domu Estreicherównę, córkę—dziś zakonnicę, syna — starostę w Tarnowie, z małżonką, którą — wedle utartego wówczas kalamburu politycznego — nazwać można było „córką koalicji“ (ojciec jej, minister Madeyski zasiadał był właśnie w gabinecie koalicyjnym ks. Windischgraetza) ¹⁾, a dalej marsową czy średniowieczną, jakby z grobowca zdjętą, postać kardynała Puzyny, barokowo skontorsjonowaną — jego kapełana Bandurskiego, wysmukłą — młodego wówczas

¹⁾ „Siostrzeńcem koalicji“ nazywano bowiem innego Dunajewskich krewnego, Ignacego Rosnera, który szybkie swoje wyniesienie w karierze zawdzięczał właśnie owym koaligacyjnym wpływom.

UNIVERSITY OF MICHIGAN LIBRARY

JEŻELI w salonie państwa Dunajewskich koncentrował się duch, duch coprawda starej Austrii czy Austro-polski, z niewątpliwymi jego zaletami i pewnemi, niezbyt zresztą rażącemi, śmiesznostkami, to salon pana Karola Raczyńskiego, świeżo osiadłego w Krakowie, był — rzecz można — poświęcony bez reszty rozkoszom cielesnym. Ten Raczyński, syn Atanazego, posła pruskiego w Portugalji, znanego kolekcjonera i wielkiego dziwaka, żonatego z Niemką, jeżeli się nie mylę, Oettingen-Wallerstein, owdowiawszy, opuścił swoją willę w Bre-gencji i na schyłek życia przeniósł się do Krakowa, gdzie czujną nad nim roztoczyli opiekę bratankowie i spadkobiercy, państwo Edwardowie Raczyńscy. Pan Karol był smakoszem i żarłokiem, obiady u niego nosiły charakter obrządku; pamiętam jeden z nich, na którym byłem, podczas którego podawano dwie zupy, w środku ukazywała się najwymyślniejsza a niespodziewana potrawa — wszystko podlane stu-pięćdziesięcioletnim węgrynem. Oryginalną nutę wnosił do zespołu biesiadnego trącący myszką dwór rezydentów, z Holendrem Kjersjesem, umocowanym specjalnie do grania w szachy, ubogą kuzynką domu, panną Radolińską, plastującą resort gry na fortepianie i typowym wyjadaczem Burzyńskim, znanym z portretu Pochwalskiego, który co pewien czas obliżywał się, mlaskał i przy przedniejszej potrawie wykrzykiwał: „Panie hrabio! Niebo w gębie!”

Święcone — inne misterjum jadła (zdaje się, pierwszy mój ojciec zauważył był w satyrycznych swoich „Siedmiu grzechach głównych stołecznego miasta Krakowa“, drukowanych w „Czasie“, jak dalece słowo o b i a d odpowiada kulinarnej psychologii Słowian) — gromadziły Krakowian u Potockich pod Baranami, u kardynała Puzyny, później zaś u delegata Fedorowicza, nie mówiąc o doraźnych fetach, jak np. u Wysockich w dawnym pałacu Wodzickich i u Ledóchowskich na Puszetówce.

Pamiętam zwłaszcza jedno święcone „pod Baranami“, odbywające się, jeżeli się nie mylę, w pierwsze święto wielkanocne roku 1900, na którym przyjmowali gości: stara pani Adamowa Potocka, dama o surowym wyrazie twarzy, wysłuchująca świątecznych życzeń gości przez zastosowaną do jej głuchoty trąbę mechaniczną, syn jej, późniejszy marszałek i namiestnik Andrzej, z żoną, zawsze piękną, choć obarczoną nie wiem już którym macierzyństwem, panią Krystyną z Tyszkiewiczów, a wreszcie cztery córki.

Szlachecki „lej rozlej“ był udziałem raczej słynącego z gościnności domu kardynała Puzyny, który z butelką starego miodu w ręku, a nieraz talerzem pełnym wędlin w drugiej, uwijał się energicznie pośród swoich gości i z fantazyjnym rozmachem narzucał im co lepsze kawałki na talerz, sekundowany w tej arcypasterskiej operacji przez sztab kanoników i kapelanów. Podczas gdy w pierwsze święto, pod Baranami, w pozbawionej okien, styłowej sali balowej, gdzie odbywało się owo święcone, panował mrok i pewna arystokratyczna sztywność, a młodzi chronili się z upodobaniem do pokoi odleglejszych, w których im było swobodniej, to w drugie święto, w jasnych i przestronnych komnatach pałacu biskupiego, dziwnie wesoło prezentowały się wiosenne dam toalety, tolerowane przez

surowego zresztą gospodarza. Kardynał, jako pochodzący ze Lwowa, a osiadły w Krakowie, nie zacieśniał się w przyjaźniach swoich do horyzontu krakowskiego, ale przyjmował chętnie ludzi z trzech zaborów: i tak na jednym z tych „święconych“ jawiła się np., obok ekscelencyj austriackich, wyniosła postać prezesa Koła Polskiego w Berlinie, księcia Ferdynanda Radziwiłła, a nie brakowało także z pewnością i gości z Królestwa.

Około r. 1901 otwarły się podwoje t. zw. pałacu rządowego w Krakowie, którego siedzibą mieściła się była poprzednio w pałacu Spiskim i nowy delegat namiestnika, pan Adam Fedorowicz, jął tam przyjmować z zastosowaniem biurokratycznej nieco etykiety. Fedorowicze nie wywodzili się bodaj od pnia kniaziowskiego, który notują pod tem samem nazwiskiem herbarze, jeno wszystkiemi fibrami — jak wiele zresztą rodzin galicyjskich — związani byli z poważnemi i mniej poważnemi stronami państwowości austriackiej. Panu Adamowi, zacnemu wielce, ale sztywnemu, jak każdy prawdziwy urzędnik austriacki¹⁾, pełnemu dla rang i hierarchij społecznych respektu, pomagała w przyjmowaniu gości powiewna, choć starsza od niego siostra, panna Lula, godna zaiste pogodnej Fredrowskiej ironji, bo tak szermowała francuszczyzną, jak niegdyś szlachcie fredrowski palił się do angielskich nawyczków, — oraz brat młodszy, Władysław, doskonały prototyp kawalera maltańskiego, a austriackiego szambelana.

¹⁾ „Biedny delegat!“ — zaliła się pewna „paniusia“ nad p. Fedorowiczem, kroczącym od wczesnego rana w obcisłym a pełnym złocień mundurze szambelańskim, w upał silny, za procesją Bożego Ciała — „Biedny delegat, od tylu godzin naczczol!“ — „Niech się pani uspokoi!“ — odparł złośliwie mój ojciec. — Pan Adam raz na zawsze kij połknął!“

Technika święconych delegackich zawczasu zwróciła była uwagę stryja mojego Zdzisława, który, chociaż sam, jako urzędnik i biurokrata, przedziwnie znać się musiał na rangach i dostojnościach, to jednak zachował był ten zmysł dla śmieszności etykietałnych, jaki salwuje prawdziwa tylko kultura. Otóż pokazało się, że bracia Fedorowicze ustawili byli w przedsionku oddzielającym dwa obszerne salony rodzaj luzującej się straży, złożonej z członków rodziny i zaufanych urzędników starostwa, zaopatrzonych w dodatku w co wyborowsze butelki z piwnicy delegata. Kiedy tedy pojawiali się we drzwiach wchodowych goście, dokonywała się natychmiast precyzyjniejsza od darwinowskiej czy lamarczkowskiej ich selekcja: jeden ze strażników chwycił bez ceremonji niepowołanego do izby wyższej (na prawo od wejścia) radcę, inspektora czy profesora pod ramię, a, nęcąc go dzierzoną w rękę butelką odstawiał do izby niższej (na lewo), podczas gdy arystokracji i rangom wyższym otworem stał dostęp i do dostojniejszych pokoi. Czasem parszywa owieczka, podochocona może starym miodem, mimo to przedrzeć się ośmielała przez uprzejmy kordon, sprężysta jednak straż prędko z tego rodzaju intruzami robiła porządek. Cały ten proceder skłonił mego stryja do oświadczenia, że odtąd będzie się, wchodząc na święcone, zwracał do gościnnego gospodarza słowami hymnu:

*Inter oves locum praesta
Et ab hoedis me sequestra,
Statuens in parte dextra! ¹⁾*

Zresztą i u pana delegata atmosfera tych święconych bywała niezgorsza, chociaż nie tak swobodna, jak u księdza kardynała, mniej szlachecka

¹⁾ Umieść mnie w twych owiec gronie,
Niech się przeklętych uchronię,
Postaw mnie po prawej stronie!

i suto przemieszana elementem biurokratycznym. Wino lało się jednak obficie i przedniej niż pod Baranami, a na gęsto zastawionych stołach niejednen znalazł się rarytet — i podczas gdy u kardynała pamiętam pewne jagnię, które stanowiło było przedmiot pożądlwości ojca Pawlickiego, to na stole delegackim świecił piór swoich dekoracją nieboszczyk-paw, w wymownych zachwalany słowach przez precjozyjną siostrę delegata.

U pani Branickiej święconych nigdy nie bywało, natomiast na Wenecji u Dębickich trafiały się one obok bali czy „kinderbali“ i innego rodzaju przyjęć, jak np. w r. 1898 kolacja, na której byłem dla uczczenia pięćdziesięcioletniego jubileuszu „Czasu“. Dom państwa Dębickich leżał wówczas prawie że na peryferji miasta, wśród błot, nawet jak na krakowskie stosunki, nieprzebytych (stąd zapewne jego nazwa).

Właściciel jego, pan Ludwik Dębicki, był człowiekiem kulturalnym, a przytem żywą tradycją i kroniką nie tylko rodzinnego Krakowa („Trzy pokolenia“), ale i Lwowa, w którym był się wychował i, rzec można, całego niemal kraju („Portrety i sylwetki galicyjskie“). Cechował go urok szczerzej szlacheckiej gościnności, a w życiu społecznem odegrał także żywą rolę, ako gorliwy katolik, potrosze neofita, bo pochodzący ze starej, arjańskiej czy kalwińskiej rodziny.

Dla kompletności w tym związku nadmienić jeszcze muszę o domu moich wujostwa Platerów (ostatnio w pałacu Wodzickich przy Świętojańskiej), skupiającym szczuplejsze zwykle grono, jako że mój wuj dotknięty był ciężką, nieuleczalną chorobą. Pogodny jednak, do ostatnich chwil, jego humor, towarzyska żyłka mojej ciotki, nie mówiąc *last not least* o doskonałej kuchni, przyciągały dość liczne osoby.

Skoro rozdział ten poświęciliśmy „misterjom jadła“, pozwolimy sobie przytoczyć na zakończenie, rozkład niedzieli, zaczerpnięty z korespondencji przeciętnego Krakowianina z tych czasów. „Rano była wódka u Kazia Badeniego (późniejszego premiera); w tej chwili śniadanie z 6 potraw u Adama Krasińskiego (dziada ordynata Edwarda); o trzeciej — posiedzenie u biskupa (Dunajewskiego) w sprawie internatu O. Kalinki; o 4-tej prelekcja O. Pawlickiego; o 6-tej obiad u pani Januszkiewiczowej (żony znanego księgarza paryskiego, Eustachego); potem raut u Popielów i kolacja męska, dawana przez Stanisława Morawskiego“.

*O ZABAWACH, TAŃCACH,
WAKACJACH I POGRZEBACH*

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

KRAKÓW ożywiał się stale podczas karnawałów, które ściągały w jego mury gości z całej Polski: królowały wówczas urodą liczne panny, jak Tarnowska, późniejsza Esterhazowa, dwie panny Meżyńskie z Białej Rusi, panna Ama Zakrzewska, Rylska, późniejsza Koziebrodzka, hoża Badenianka, później — hrabianka „Kasia” z Zamoyskich Jerzowa Baworowska, a kawalerowie ściągali z tak daleka, że pewnego razu pojawił się nawet autentyczny Turek, Fuad-bej, wnuk czy prawnuk słynnego Sadyka-paszy Czajkowskiego, a z funkcji koniuszy sułtański.

Huczny był zwłaszcza karnawał z końca wieku, roku 1900, huczny i dla mnie pamiętny, gdyż w tym roku ojciec mój wstąpił w ponowne związki małżeńskie. Uświetnił go kostjumowy bal pod Baranami, którego niektóre (damskie zwłaszcza) stroje oglądałem później na raucie Towarzystwa św. Wincentego à Paulo, uświetnił bal czy kulis na Szlaku i przedstawienie amatorskie pod Baranami, na którym w „Partji szachów” Giacosi podgolony na ten benefis i odmłodził pan Andrzej Potocki piorunował spojrzeniami partnerkę swoją o ptasim, klasycznym profilu, pannę Amę Zakrzewską. Kuzyn mój, Edward Plater zaręczał się jednocześnie w pałacu Jabłonowskich, dziś Potockich ze słynną z urody Joanną Tyszkiewiczówną, inny kuzyn, Henryk Plater, kochał się nieszczęśliwie w uroczej pannie Jełowickiej, tak więc odgłosy

karnawału wszystkimi porami wciskały się do mojej szkolnej izby.

Jakkolwiekby wypaśceby miał w przyszłości sąd o całokształcie epoki autonomicznej galicyjskiej, to w każdym razie my, wychowawcy polskiej szkoły w Galicji, zachowamy wdzięczność hynajmniej nie dla Austrii — którą to wdzięczność starano się nam z pewnej strony narzucić podczas wielkiej wojny — dla Austrii, której duch tę szkołę tylko tolerował, ale dla rzeczywistych jej organizatorów, a także inspiratorów.

W przeciwieństwie bowiem do naszych rówieśników z dwóch innych zaborów, oddychaliśmy w galicyjskiej szkole atmosferą bez porównania zdrowszą, a zwłaszcza stosunek uczniów do ciała profesorskiego poruszał się na płaszczyźnie z punktu widzenia etycznego gładkiej i unormowanej. Nie od razu Kraków zbudowano — i nie od razu tę galicyjską szkołę, dlatego, być może, słuszne były skrupuły mojego ojca, skoro na moje życzenie oddawał mnie w r. 1898 nie do uświęconego starszą już tradycją pedagogiczną liceum Nowodworskiego czyli św. Anny, ale do zażywającego bardziej arystokratyzującej czy paniczykowej reputacji gimnazjum III, Sobieskiego.

Pomimo tego, a dzięki wytrwałości grona profesorskiego, praca, zwłaszcza w ostatnich dwu latach mojej nauki, wrzała. Profesorowie — zwłaszcza historii i literatury, — kładli nacisk także na pracę i kulturę pozaszkolną, domową, oswajali nas ze świeżymi prądami, począwszy od Wyspiańskiego, a na Weyssenhoffie i Żeromskim kończąc. Dlatego może byłem tak dalece predysponowany do odczucia „Wesela“, które, wystawione w r. 1901, potężne i wzmagające się coraz w szeregu przedstawień, na których byłem, uczyniło na mnie wra-

zenie. Nie osłabiały go krytyki Tarnowskiego, które słyszałem na ciepło, gdy nazajutrz po premierze, zżymając się wielce, przyszedł był z relacją do chorego Klaczki, a na Wyspiańskiego patrzyłem już jak na wieszczą i mało ludzi w życiu zrobiło na mnie takie wrażenie, jak ten błądy poeta o niebieskich, fascynujących oczach, gdy go mi mniej więcej w tym czasie danem było spotkać podczas kolacji u mojego ojca.

Wogóle dom mojego ojca — odmłodzony przez moją macochę — w wyższym stopniu, niż dotąd salon ciotek, skupiał i odzwierciedlał nowe, nurtujące Kraków, prądy. Żywe zamięłowanie pani domu do sztuk plastycznych, wyrażające się w dość znacznej kolekcji obrazów, należących do nowoczesnej szkoły sztuki polskiej, kazało również gospodarzom gromadzić u siebie reprezentantów tej szkoły, jak rzeźbiarzy Laszczkę i Puszeta, malarzy: Wyczółkowskiego, Stanisławskiego z żoną, Axentowicza i innych. Z częstszych gości bywał także i Sienkiewicz, z salonu ciotek moich przenieśli się tutaj przejezdni cudzoziemcy, nastrój był jeszcze swobodniejszy niż na Szpitalnej i najmiłsze z niego wyniosłem wspomnienia.

Inne znów piętno nosiły na sobie zabawy starszej młodzieży, w których i ja mogłem brać udział, odbywające się przez pewien czas co sobotę w willi Pusłowskich przy ulicy Kolejowej. Gromadziły się tam przedewszystkiem liczne odrośle wspomnianego wyżej rodu Moszyńskich: i tak, dziś już nie żyjący, dwaj synowie Jerzego, z których młodszy, późniejszy ksiądz, obdarzony był talentem do karykatur, dalej — trzej synowie gospodarstwa, z których znów najstarszy, Emanuel, poległy w pierwszym okresie wojny światowej w wojsku austriackim, uzdolniony matematyk

i dyletant-polihistor zaręczył się był właśnie w Paryżu z córką znanego malarza Delaroche (— małżeństwo to nie miało dojść do skutku), drugi z rzędu, Ksawery, uprawiał niwę poetycką, trzeci wreszcie, Włodzimierz, umarł, służąc w wojsku rosyjskiem. Dochodzili do tego czterej bracia Rostworowscy, z których odznaczyć się miał później Karol-Hubert, jako twórca „Judasza“, „Kali-guli“, i „Miłosierdzia“ — w czasach, o których mowa, zajmował się raczej jednak muzyką. Jeśli do tego pocztu młodych krewniaków doliczymy jeszcze dwóch Szembeków, (dzisiejszego wiceministra i Salezjanina), będących także wnukami pana Piotra Moszyńskiego i dziedziczących po nim estetyczną kulturę rodu oraz — Juljusza Cieleckiego, syna znów siostry pani Pusłowskiej, także poległego w wielkiej wojnie, to zdamy sobie sprawę, ile w tej rozrodzonej rodzinie było temperamentów i talentów prawdziwych, choć niezawsze produktywnych.

Państwo Pusłowscy w omawianym przezemnie okresie mieszkali stale w swoim krakowskiem *villino*, zanim chwilowa ruina finansowa, wywołana przede wszystkim kolekcjonerstwem pana domu, nie skłoniła ich z czasem do przeniesienia się do bardziej jeszcze uroczej, a ze szczętem zniszczonej podczas wojny, wiejskiej rezydencji w Czarkowach. Nigdy nie zapomnę wieczorów, spędzanych w tym domu, które na rozwijającą się wyobraźnię dziecka oddziaływały wysoce estetycznem i w dodatku nieco tajemniczem zabarwieniem. Bawiliśmy się w dużej sali o kamiennej posadzce na drugim piętrze, zdobnej w szafy gdańskie, obrazy szkoły włoskiej i portrety Matejki, a prowadzącej do *loggii* zewnętrznej, z której roztaczał się oryginalny widok na szczyty wież krakowskich. Rostworowski grał na fortepianie, przeglądało się

rysunki, przedstawiające towarzystwo krakowskie, roboty „Stasiny“ Moszyńskiego, słuchało tłumaczeń wierszowanych (głównie z poezji angielskiej), dokonywanych przez „Sawę“ Pusłowskiego i ulubionych w tem gronie opowieści o duchach lub lunatykach, natchnionych zapewne lekturą Poeego. Dla pełności obrazu dodać trzeba, że posiadał on także inną, nie do pogardzenia, stronę, a to obecność wśród tej młodzieży szeregu bardzo pięknych pannen, które bądź to czasem pojawiały się jakby z łaski, w przerwie między karnawałowemi zabawami, bądź też stale nam towarzyszyły. Wśród nich w pierwszym rzędzie wyszczególnić należy dwie słynne panny Zakrzewskie z Podola: szesnastoletnią wówczas, z rozpuszczonymi jeszcze chodzącą włosami, pannę Amę, nieżyjącą już dziś późniejszą księżną Tasca di Cutto, oraz młodszą jej siostrę, mniej klasycznie piękną, ale bardziej może jeszcze szarmancką Natę, późniejszą księżną Golicyn. Rzadziej pojawiały się tutaj panny Tarnowskie ze Szlaku, z których starsza, Elżbieta, wyszła z czasem za mąż za hrabiego Janosa Eszterhazy, stale natomiast — trzy śliczne panny Lipkowskie: Nina — późniejsza hr. Blanckensteinowa, Zofja — z czasem Aleksandrowa Wielopolska i najmłodsza — ceniona dziś artystka-malarka. Grona tych Gracyj dopełniały: kuzynka Pusłowskich, panna Suza Tyszkiewicz, późniejsza Cielecka i mała Polko-Francuzeczka, ładniutka Rongierówna.

Gdy następowała przerwa w zabawie, schodziliśmy parami na dół przez kręcone schody, obwieszone bezcennemi brabanckimi gobelinami, do sali jadalnej, przykrytej pięknym drewnianym stropem, na kolację. Nie bez lęku ukrytego mijało się wówczas drzwi, prowadzące do komnat i biblioteki starego „Pusia“, który, jak alchemik, rezydo-

wał *procul negotiis* pośród heraldycznych foljałów, sarkastycznych notat, podniecających *cocktail'ów* i wywoływanych, jak sądziliśmy, przez siebie duchów, o których częściej zapewne obecności w jego pracowni świadczył namacalnie przytransportowany z prosektorjum czy cmentarza szkielet, ubrany w orientalny szlafrok czy też kontusz, patrzący na nas z poza takichsamych rżniętych, podwójnych okularów, z poza jakich spoglądał i sam tajemniczy amfitrjon, kiedy — dość zresztą niechętnie — pojawiał się wśród naszych krzyków i harców.

Byli pośród kolegów moich i współuczestników zabaw synowie profesorów i ziemian, chłopcy z różnych stron Polski i do różnych należący sfer społecznych. Różne też wśród nich trafiały się temperamenty, a do tych z natury rzeczy stosować się musiał typ naszych zabaw. Obaj Szembekowie wnosili do nich wybitne, przynajmniej jak się nam wówczas wydawało, uzdolnienie dramatyczne. Z ich impulsu wyniknął tedy cały szereg mniej lub więcej udanych przedstawień amatorskich. Początek coprawda dany był przezemnie, kiedy to, nie pomnę już w którym roku życia, ułożyłem był — ku uczczeniu pierwszego wakacyjnego powrotu jednego z nas z odległego wiedeńskiego Terezjanum — krótką, wierszowaną sztukę p. t.: „Aniołowie u Piasta“, odegraną przez nas kilku z udziałem jeszcze siostry Puszeta, a na którą to sztukę zleciało się dużo starszych znajomych, robiąc nam reputację mniej lub więcej cudownych dzieci. Znacznem powodzeniem cieszyło się również w parę lat później dwukrotne przedstawienie „Elektry“ Sofoklesa, inscenizowane w tymżesamym prawie komplecie ku uczczeniu imienin mojego ojca. Przedstawienia, inicjowane przez Szembeków, rzadziej przychodziły do skutku,

gdyż wymagały bądź niedostępnej środkom naszym *mise-en-scène'y*, bądź też zbyt licznego personelu. Tak było oczywiście z „*Macbethem*“, któregośmy się wyuczali na pamięć, właśnie dzięki ożywczemu wpływowi występów Modrzejewskiej, której grę i akcent mimował z powodzeniem starszy Szembek; tak było, później znacznie, i z „*Jowialskim*“, gdzie się nieszczęsny, wskutek przesunięcia ról, kolejno na pamięć uczyć musiałem partyj Jowialskiego i Szambelana. W tej serji doszły do wykonania tylko dwie jednoaktówki, a to „*Dwóch głuchych*“ — jeśli się nie mylę — Labiche'a oraz „*Litta et Compagnie*“ Fredry. Nie potrzebuję dodawać, ile dla młodych umysłów było estetycznego pożytku z tak dokładnego wystudjowania paru choćby arcydzieł dramatycznej literatury, a zamiłowanie tego rodzaju u najmłodszych dostarcza jeszcze jednego dowodu znaczenia tej teatralnej atmosfery, w jakiej żył i oddychał ówczesny Kraków.

Zgoła inny charakter nadawali grom tej gromadki obaj bracia Zagórscy. Synowie powstańca, z matki Rosjanki, Kozłowej, córki wychowawcy Aleksandra III, chowani przez ojca na oficerów, skłonni byli do zabaw na świeżem powietrzu, zbliżonych do dzisiejszego skautyzmu, do gier ruchowych, na których braku — mimo pielęgnowanej pod pewnym przymusem gimnastyki — cierpiało wszakże moje zwłaszcza dzieciństwo. Zabawy te miały za teren bądź to willę Zagórskich w pobliskich Swoszowicach bądź *villegiaturę* naszą w moim Wadowie bądź wreszcie uroczy lasek w Panieńskich Skałach. Nawiasem tylko dodaję, że tego rodzaju rozrywek niezawsze w sercu nosiłem, będąc, jako z natury niezgrabny, nieraz przy ich okazji srodze przez kolegów turbowany

(— najciężej jednakże bez złego zamiaru, kiedy Ludwik Puszet, fechtując się ze mną zaostrzoną laską, wybił mi w oku rogówkę, co wywołało potrzebę dłuższego pielęgnowania) i dalej że, coprawda wyjątkowo, dopuszczani byli do tych właśnie zabaw niektórzy z synów oficerów czy generałów austriackich, stacjonowanych w mieście.

Muszę wreszcie wspomnieć w paru szczegółach o sposobie, w jaki spędzaliśmy nasze *villegiatury*.

Moja babka w pierwszych latach mojego życia wozila mnie — dla zahartowania mojego zdrowia i póki jej własne na to pozwalało, gdyż podróż była ciężka (jeździło się góralską furką z dość przykrym żydowskim noclegiem w pośrodku) — do Zakopanego. Następne sezony (aż do r. 1893 włącznie) spędzaliśmy w odziedziczonym po mojej matce Wadowie, w otoczeniu licznych sąsiedztw, jako to: Popielów w Ruszczy, Badenich w Branicach, Wodzieckich w Kościelnikach, Mycielskich w Łuczanowicach i Łempickich w Krzysztoforzycach. Okolica była piękna, a stare pomniki naszej kultury, jak gotycki kościół parafialny ze średniowiecznymi witrażami w Ruszczy i tajemniczy lamus w Branicach dużego jej dodawały uroku. W r. 1893 babka moja poważnie zachorowała na serce, musieliśmy ją pośpiesznie przewieźć do Krakowa, a na resztę skwarneho lata pojechałem do Białaczowa, posiadłości mojego wuja, Ludwika Broël-Platera.

Tam czekało mnie nowe życie. W starym, stylowym pałacu marszałka Sejmu Czteroletniego, Małachowskiego, w którym zwłaszcza idący przez dwa piętra, owalny salon przypominał najlepsze czasy przedstuletnie, kotłowało intensywne życie towarzyskie, zasilane wielkimi podówczas docho-

dami przemysłowymi mojego wuja, a podniecane przez pięciu jego synów, z których każdy obdarzony był niepośledniem uzdolnieniem muzycznym. Białaczew był punktem zbornym dla całej naszej rodziny, punkt zaś kulminacyjny zabaw wakacyjnych osiągany był z reguły każdego 25 sierpnia, w dzień św. Ludwika, kiedy to się odbywał huczny zjazd sąsiadów i oficjalistów, kiedy wieczorem rozległy park jaśniał od blasku pochodni, grzmiały salwy, brzmiały myśliwskie rogi, a w komnatach pałacowych sute zastawiano uczyty.

Skromniej, ale bardziej sielsko przedstawiała się dla mnie *villegiatura* (od następnego r. 1894 i później przez lat prawie dwadzieścia) w uroczym, pełnym wód, wzgórz i lasów Złotym Potoku, własności dawniej poety Zymunta Krasińskiego, a za moich czasów wnuka jego, Karola Raczyńskiego, którego pełnomocnikiem był mój stryj Tadeusz. Tutaj więc zaznawałem przez długie lata mej młodości prawdziwie staropolskiej tego stryja gościnności, w skupieniu i wiejskiej ciszy przeuczyłem się i przemyślałem dużo, a znajdowałem najlepszych towarzyszków rozrywek w nadmier licznej gromadce jego dzieci.

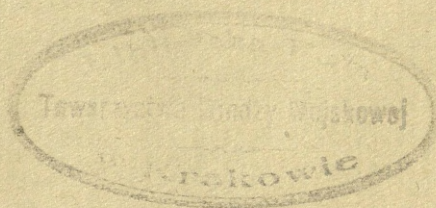
Jeżeli mi wolno na chwilę jeszcze powrócić do starego Krakowa, to dodam, że niepoślednią a bardzo swoistą dystrakcję oczu, ale i umysłu, przedstawiały dla rozwijającego się dziecka nieprzerwanie odbywające się w nim uroczystości, począwszy od wspaniałego pogrzebu Mickiewicza w r. 1890, którego z okien naszego domu byłem widzem, poprzez analogiczne, choć oczywiście skromniejsze, uroczyste pogrzeby Lenartowicza, a później Siemiradzkiego, aż do kościelnych ingresów obu naszych kardynałów, Dunajewskiego i Puzyny. Jak bardzo byłem krakowskiem dziec-

kiem, świadczy o tem okoliczność, że najdawniejszem wspomnieniem mojej pamięci jest także pogrzeb — nie pamiętam tylko czy: Kraszewskiego czy Zybkiewicza¹⁾.

¹⁾ Zwracam uwagę czytelników na doskonałą, pełną petyzmu dla rodzinnego miasta, a mało znaną broszurę Stanisława Estreichera: „Znaczenie Krakowa dla życia narodowego polskiego w ciągu w. XIX-go“, odbitka z „Biblioteki Krakowskiej“, nr. 72. Kraków 1932.

SPIS RZECZY

	Str.
Tusculum szlacheckie	5
Akademja wszelkich sciencyj pełna	17
Pięknoduchy nie z knajpy	29
Salon krakowski na przełomie dwóch stuleci	43
Wielkanoc w dawnym Krakowie	55
O zabawach, tańcach, wakacjach i pogrzebach	63





38163 / 2